



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

10
2013

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 10

BRAZYLIA

AFROAMERYKA - DRUGIE
SPOTKANIE KONTYNETÓW

str. 26

USA

STAN SŁOŃCA

str. 36

FINLANDIA

MOCZARY EUROPY

W Polsce leży największy w Europie park w stylu angielskim

GDZIE SZTUKA SPOTYKA NATURĘ

str. 18

DOKOŁA MORZA CZARNEGO

STR. 92



AFGANISTAN

STR. 46

HERAT NIE WIERZY NIKOMU

MAROKO

STR. 66

ŚWIĘTO MUZYKI I OCZYSZCZENIA

ISLANDIA

STR. 84

WYSPA ZBĘDNYCH SZOS

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



91770032614308 10

Czy wiesz, że każdy termos to tak naprawdę THERMOS?

Czy wiesz, że próżniowa butelka" została po raz pierwszy wyprodukowana do celów komercyjnych w 1904r, przez dwóch niemieckich szklarzy, którzy założyli firmę Thermos GmbH. Na zorganizowany przez nich konkurs na nazwę dla nowego produktu napłynęło sporo propozycji, ale wygrała nazwa pewnego dżentelmena z Monachium, który zaproponował nazwę "Thermos", jako słowo pochodzące z greckiego Therme, co znaczy ciepło. [Dalsza historia na www.redbird.pl](http://www.redbird.pl)

Teraz Thermos znów jest dostępny w Polsce.



GENUINE
THERMOS®
BRAND



Dystrybucja w Polsce: Red Bird



Finlandia str. 36



Malediwy str. 92



Islandia str. 84

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

AFROAMERYKA

– DRUGIE SPOTKANIE KONTYNETÓW str. 10

W mieście Salvador da Bahia najlepiej widać przenikanie się kultury brazylijskiej z afrykańską. **Sławomir Kozdraś**

GDZIE SZTUKA SPOTYKA NATURĘ str. 18

Park Mużakowski to jedno z najwybitniejszych osiągnięć europejskiej sztuki ogrodowej. **Mikołaj Gospodarek**

STAN SŁOŃCA str. 26

Florida Keys to zespół 1700 wysp koralowych. Stanowią najdalej wysuniętą na południe część Stanów Zjednoczonych. **Anna Bugajna**

MAZUREK NA WYNOS str. 34

Felieton **Roberta Mazurka**

MOCZARY EUROPY str. 36

Finowie mówią, iż tworząc świat, Bóg zapomniał oddzielić w ich krainie ziemię od wody. **Jerzy Machura**

GEOSKOP str. 42

HERAT NIE WIERZY NIKOMU str. 46

Afganistan zмага się z doświadczeniami trzydziestu lat wojny. **Witold Repetowicz**

Z TERESĄ PRZEZ ŚWIAT str. 52

Motocyklowa wyprawa dookoła Morza Czarnego. **Cezary Wasyluk**

POZNAJ ZWYCZAJ str. 62

Miss Azji. **Paulina Kańska**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 65

Rozmowa z **Nataszą Urbańską**

ŚWIĘTO MUZYKI I OCZYSZCZENIA str. 66

Na marokański Festiwal Gnawa i Muzyki Świata przyjeżdżają fani z całego świata. **Weronika Ulicka**

NAVIGATOR str. 74

GÓRY CZARNOGÓRY str. 78

To właśnie góry są sercem tego kraju, zwanego też Monte Negro – gościnnego, taniego i o pięknych krajobrazach. **Maria Giedz**

WYSPA ZBEDNYCH SZOS str. 84

Piesza ekspedycja przez pokrytą śniegiem Islandię. **Marcin Jank**

ŚWIAT W OBIEKTYWIE: MALEDIWY str. 92

Demokracja zalewa Malediwy. **Elwira Szczecian**

Z PERSPEKTYWY str. 100

Wyspa tajemnic. Felieton **Ryszarda Badowskiego**

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 104

OUTDOOR str. 108

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
Park Mużakowski





Marzena Wasilewska-Lasa

LAOS

Spokojne wody Mekongu

Mekong jest najdłuższą rzeką na Półwyspie Indochińskim. Przepływa przez Chiny, Laos, Kambodżę oraz Wietnam. Można wykupić zorganizowany „boat trip” po rzece lub nabyć samemu łódkę, często za bardzo niską cenę. Zdjęcie zostało zrobione podczas podróży z Nong Kiew na południe do Luang Prabang.



© CEZARIUSZ ANDREJCZUK, POLSKA, 'Poruszone brzozy'

Cezariusz Andrejczuk (Polska)

POLSKA

Poruszone brzozy

KATEGORIA
BOTANICZNE KRÓLESTWA
WYRÓŻNIENIE

Te charakterystyczne, srebrne brzozy o białą-czarnej korze spotkać można w Europie i Azji. Rosną szybko i żyją krótko. Są gatunkiem pionierskim – kolonizują nasłonecznione, otwarte przestrzenie, torując drogę innym, wolniej rosnącym drzewom, np. dębom. Zdjęcie tych podlaskich brzoź zostało wykonane z jadącego pociągu.

ZDJEŃCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2012, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 4 DO 30 PAŹDZIERNIKA 2013 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W WARSZAWIE, W MUZEUM ZIEMI PAN PRZY AL. NA SKARPIE 27. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Seweryn Błasiak

POLSKA

Żuczku, żuczku, coś ty zrobił?

Żuk to bardzo pożyteczny owad. Oczyszcza powierzchnię gleby, formując kuliste nawozowe bryłki, które zakopuje na głębokość nawet do jednego metra. Ten leśny żuczek zrobił sobie małą przerwę na przejazd pociągu. Kiedy trzęsienie ziemi się zakończy, mali mieszkańcy leśnego runa znów powrócą do pracy.



Waldemar Lamparski

NEPAL

Oślonione

Chitwan jest jednym z najstarszych i najatrakcyjniejszych Parków Narodowych w Nepalu, bardzo popularnym wśród turystów. Znajduje się w nim wydzielona część, gdzie przyucza się słonie do prac z człowiekiem. Zwierzęta są pod troskliwą opieką, dobrze karmione i zadbane, a przede wszystkim pilnie strzeżone przed kłusownikami polującymi na ich kły.





Michał Gierliński

CHINY

Cuda na patyku

Bingtáng Húlu to przysmak maluchów i dorosłych. Kandyzowane owoce mają lekko kwaskowy smak równoważony przez chrupiącą cukrową glazurę. Tę wyśmienitą przekąskę można kupić niemal na każdym rogu pekińskiej aglomeracji.

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



Piętnaście milionów lat temu Afryka i Ameryka Południowa były częścią jednego kontynentu. Brazylia łączyła się z zachodnim wybrzeżem Afryki. To, co widać gołym okiem, patrząc na kształt kontynentów, potwierdzają badania geologiczne i archeologiczne. Miliony lat później splot dziejów i portugalskie statki wiozące niewolników znów połączą te dwa kontynenty – wprawdzie nie geograficznie, ale z pewnością duchowo.



Historia współczesnej Brazylii zaczęła się w XVI wieku. Oficjalnie – 23 kwietnia 1500 roku. To wtedy Pedro Álvares Cabral i jego załoga wylądowali na wybrzeżu, w dzisiejszym stanie Bahia. Na brzegu podjęli ich wodzowie miejscowych plemion. Pierwsze spotkanie tubylców i przybyszów z Nowego

Świata przebiegło nad wyraz pokojowo. Minęło ponad trzydzieści lat, zanim Portugalczycy podjęli się kolonizacji, zaczynając od małej osady na bajkowej wyspie Morro de São Paulo.

W 1549 roku założyli miasto Salvador de Bahia. Portugalscy kolonizatorzy docenili wartość surowców takich jak drewno i trzcina



TACZKOPOSTÓJ

Kolorowe taksówki na Morro de São Paulo.

AFRO AMERYKA

DRUGIE SPOTKANIE KONTYNENTÓW

Sławomir Kozdraś





Stara część Salvadoru.



Nadmorska dzielnica Cidade Baixa.



Pokaz capoeiry...





OCEAN NIESPOKOJNY
Panorama Salvadoru da Bahia, pierwszej stolicy Brazylii.



Michael Jackson wiecznie żywy.



...i tatuazu.

cukrowa. Potrzebowali siły roboczej, aby móc budować potęgę Portugalii (i osobiste fortuny). Rosnący popyt na surowce zapoczątkował lukratywny handel niewolnikami z Afryki. Według oficjalnych dokumentów do Brazylii przywieziono ich z Czarnego Lądu blisko 5 milionów. Salvador, jako główny port, stał się stolicą nowej kolonii i centrum handlu niewolnikami. Najstarsza część miasta do tej pory nosi nazwę Pelourinho (pręgierz), od znajdujących się tam niegdyś narzędzi tortur.

Kolosalna skala handlu żywym towarem odcisnęła wyraźne piętno na całej kolonii i później niepodległej Brazylii. Do dziś w kulturze brazylijskiej widoczne są zwyczaje i wierzenia przywiezione przez afrykańskich niewolników. Oczywiście językiem urzędowym jest portugalski, a zdecydowana większość społeczeństwa to katolicy, na głównych ulicach metropolii widać międzynarodowe marki-sieciówki, a w radiu lecą hity Lady Gagi. Ale tym, co sprawia, że Brazylią jest Brazylią, są w istotnym stopniu korzenie afrykańskie.

ZJEDNOCZENI W WALCE

Capoeira, niesamowicie widowiskowe połączenie tańca i sztuk walki, to niezwykle silny element tożsamości Brazylii. Dlatego jej pochodzenie ma wydźwięk polityczny i jest kwestią sporną. Niezaprzeczalnym jednak faktem jest, że to właśnie afrykańscy niewolnicy rozwinęli tę sztukę do perfekcji. Stała się ona podstawą licznych powstań. Jako potencjalne narzędzie rebelii, capoeira została zakazana. Niewolnicy, w chwilach przerwy od katorżniczej pracy w kopalniach i na plantacjach, gromadzili się w lasach, z dala od wzroku panów, i walczyli. Uważa się, że gdy jedna grupa walczyła, inni

stali na czatach i dźwiękiem pojedynczej struny dawali znak, że ktoś się zbliża. Dzisiaj ta struna, zwana *berimbau*, nieodmiennie towarzyszy ćwiczeniom.

Moje pierwsze spotkanie z capoeirą ma miejsce na Morro de São Paulo, gdzie Portugalczycy po raz pierwszy założyli kolonię. Morro to tropikalna wyspa, popularna wśród Brazylijczyków z Salvadoru i okolic. Przyjeżdżają tu, żeby odpocząć od zgiełku miasta. Na rajskich plażach dumnie chwalą się pięknymi sylwetkami wyrzeźbionymi w siłowniach i salach operacyjnych chirurgów plastycznych.

W uroczy, lekko ciepły wieczór jestem na głównym placu miasteczka. Nagle pojawia się grupa dzieciaków w białych strojach. Wbiegają i od razu zaczynają wymachiwać nogami i markować ciosy. Za nimi niespiesznie wchodzi potężnie umięśnieni młodzi mężczyźni. Słychać pierwsze, pojedyncze dźwięki *berimbau*. Zapada zmierzch. Starszyzna przywołuje dzieciaki, rysuje na bruku okrąg i przypomina, żeby nie przekraczać linii.

Pojedyncze, dotychczas niesynchronizowane dźwięki strojonych strun zgrywiają się i cała grupa zaczyna śpiewać. W okręgu pojawia się coraz więcej widzów. Dwóch zawodników rytualnie podaje sobie ręce i efektowną gwiazdą wkracza do okręgu. Zaczyna się pokaz. Szybko okazuje się, dlaczego lepiej nie przekraczać linii – zwodniczo powolne ruchy płynnie przechodzą w nieprzewidywalne zmiany kierunku i błyskawiczne wymachy nogami. Moment nieuwagi ze strony zawodników czy widowni grozi utratą zębów albo poturbowanymi kostkami – wysokość wykopów jest równie nieprzewidywalna jak kierunek obrotów. Jeden zawodnik ma 25 lat, drugi nie więcej niż siedem.

Przez kolejną godzinę toczą się pojedynki w najróżniejszych kombinacjach: 20-letnie chłopaki przeciwko dzieciakom, najzwinniejszy z młodzieńców kontra nastoletnia dziewczyna, najsilniejszy z mężczyzn przeciwko niemal dwukrotnie starszemu mistrzowi. Każdy pojedynek kończy się uściskiem dłoni. Starsi uczą młodszych ruchów i siły, ducha współzawodnictwa i szacunku dla przeciwnika. Zwieńczeniem pokazu jest wspólny śpiew i taniec – wtedy w okręgu, już znacznie ciśniejszym, konkurują najlepsi tancerze. Nie ma podziałów na starych i młodych, chłopaków i dziewczyny, białych i czarnych.

TALERZ MANIOKU, CZYLI DUCH WSPÓLNOTY

Mimo dominującego katolicyzmu w Brazylii istnieje duża różnorodność religijna. Istotną rolę odgrywają animistyczne wierzenia przywiezione przez niewolników. Najpopularniejsza z tych typowo brazylijskich religii to *candomble*. Podobnie jak capoeira była zakazana, gdyż kolonizatorzy uważali ją za element budujący wspólną tożsamość. Żeby móc czcić swoją wiarę, niewolnicy zaczęli wprowadzać do ceremonii elementy katolickie – na przykład kult świętego Jerzego, który z czasem stał się symbolem *candomble*. Salvador, kolebka kultury afrobrazylijskiej, ma ponad tysiąc *terreiros*, czyli świątyni-domów *candomble*, a na lokalnych targach z łatwością można znaleźć przedmioty potrzebne przy ceremonii i różnego rodzaju dewocjonalia.

W każdym biurze podróży w Salvadorze czeka oferta wzięcia udziału w ceremonii *candomble*. Niektórzy uważają, że to show dla turystów, który niewiele ma wspólnego z au-

tentycznym duchem religii. Przekonać się można tylko na własne oczy, więc rezerwuję udział w wieczornym seansie. Po zmierzchu z hostelu odbiera mnie José – czarnoskóry pięćdziesięciolatek. Przekonuje, że sam jest wyznawcą. Z powagą proroka i ferworem fanatyka przedstawia mitologię *candomble*. Każde zdanie kończy dziwnie przeciągniętym ostatnim wyrazem, co w połączeniu z majaczącymi w ciemności białkami jego szalonych oczu wydaje się krzyknąć „show pod turystów”. W myślach na miejscu widzę chatę z trzciny cukrowej, siwy dym, stare kobiety w tradycyjnych strojach i szalonych kaznodziejów zbierających na tańce.

Rzeczywistość okazuje się zupełnie inna. *Terreiro* to salka z plastikowymi krzeselkami ogrodowymi i małą sceną. Do ceremonii została prawie godzina, ale połowa siedzeń jest już zajęta. Widownię tworzy kilku turystów, liczne plotkujące babcie i lokalna młodzież. Przez szum głośnych rozmów co chwila przebijają śmiech. Przygotowanie do ceremonii niewiele ma w sobie patosu. Paradoksalnie, wydaje się to sugerować, że nie bierzemy udziału w przedstawieniu. Na sali widać sporo symboliki *candomble*, ale i postaci z Biblii. Jeszcze tylko rytualne osmolenie dymem wejścia i zaczyna się ceremonia. Dużo tu śpiewu i tańca – wszyscy wydają się świetnie bawić.

Robi się nieco poważniej, gdy przewodzący ceremonii, potężny grubas w kowbojskim kapeluszu z cygarem między zębami, wchodzi w tłum i przytula poszczególne osoby, a w ich włosy wdmuchuje dym z cygara. Specjalną uwagę poświęca mężczyźnie równie słusznej wagi, który, jak się dowiaduję od José, przyjechał prosić o błogosławieństwo i pomoc w pozbyciu się chorobliwych kilogramów.



Zioła używane w ceremonii *candomble*.



MSZA AFROBRAZYLIJSKA

Wyznawcy religii *candomble* łączą animistyczne wierzenia afrykańskie z symboliką chrześcijańską.



Rytualne palenie fajki.

FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

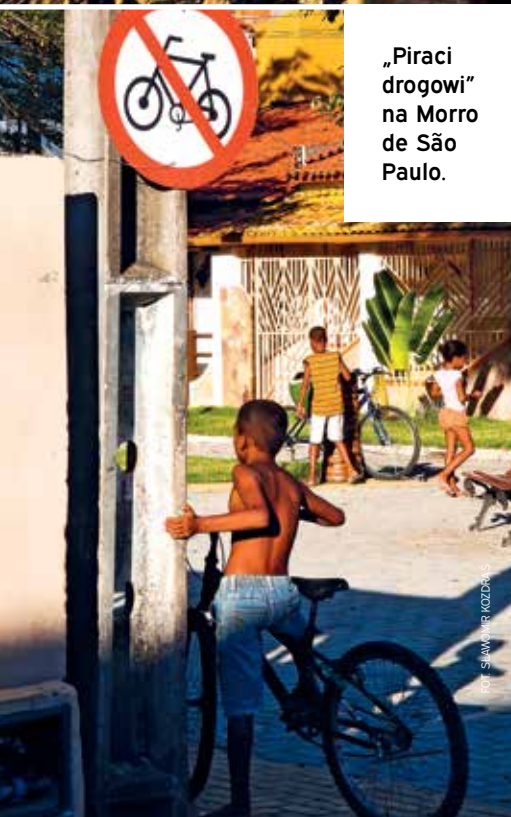


Kaplica ze zdjęciami chorych, którzy mają być uzdrowieni.

FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



„Piraci drogowi”
na Morro
de São
Paulo.



Radosna przyszłość Brazylii.

FOT. SŁAWOMIR WODKAS

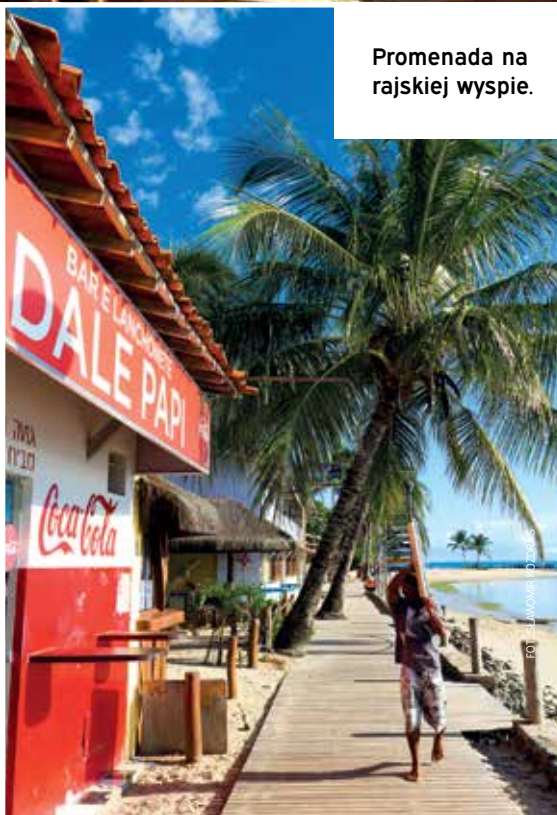
FOT. SŁAWOMIR WODKAS



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

ZIMNO JAK W CZERWCU

Wyspa Morro de São Paulo w czerwcu jest prawie zupełnie pusta. To brazylijski środek zimy, więc temperatury spadają poniżej plus 30 stopni C.



Promenada na rajskiej wyspie.

FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

Potem robi się łżej. Kapłani zasiadają w dwóch rzędach i zapraszają ludzi z widowni do rozmowy. Rozmawiają i trą w dłoniach zioła. Po każdej takiej „spowiedzi” wierni odchodzą z uśmiechem. W końcu z zaplecza wchodzi młodzi ludzie i rozdają talerze manioku. Po kilku łyżkach jedzący podają naczynie kolejnej osobie. Dostępuję zaszczytu, bo swój talerz podaje mi główny kapłan. Zachęcany przez mojego darczyńcę zjadam roczną dawkę intensywnie żółtego, zapychającego manioku. Olbrzym bacznie patrzy, jak jem, i z aprobatą kiwa głową, widząc, że talerz jest pusty. Nie zauważa, że jestem na skraju śmierci z przejedzenia.

Seanse *candomble* mogą ciągnąć się nawet całą noc. My wychodzimy po paru godzinach. Ceremonia i śpiewy trwają nadal. Na ile było to doświadczenie prawdziwego *candomble*, ciężko powiedzieć, ale wiem z pewnością, że w powietrzu unosił się duch wspólnoty, a ceremonia wyzwała mnóstwo uczuć.

BLACK IS BEAUTIFUL

Capoeira i *candomble* to tylko dwa aspekty ilustrujące, jak kultura afrykańska ukształtowała brazylijską. Takich przykładów jest wiele – od samby wykształconej w Rio przez czarnych imigrantów ze stanu Bahia po typowe dania kultywowane w kuchniach zarządzanych przez niewolników.

Mimo iż kultura brazylijska tak mocno przesiąknięta jest kulturą afrykańską, w społeczeństwie nadal wyraźne są podziały rasowe. Brazylia jest w ścisłej czołówce krajów o największym rozdźwięku między

bogатыmi a biednymi – różnice te zbiegają się z podziałami rasowymi. W Salvadorze biali zarabiają średnio 3,2 razy więcej niż ludność mieszana bądź czarna. To niechlubny rekord wśród brazylijskich miast. W telewizyjnych kanałach w rolach gwiazd występują niemal wyłącznie biali. Inny kolor skóry widać w powszechnych relacjach z policyjnych nalotów na dzielnice biedy, w których reporter na żywo przeprowadza wywiady z postawionymi pod mur młodymi, czarnoskórymi chłopakami z rękoma za głową.

Widoki na zmiany niosą wyniki ostatniego spisu powszechnego. Po raz pierwszy okazało się, że biali są w Brazylii mniejszością. Wynika to z różnych współczynników narodzin wśród poszczególnych grup etnicznych, ale przede wszystkim odzwierciedla to, że ludność mieszana i czarna coraz śmiej przyznaje się w ankietach do swoich korzeni. Dotychczas zaznaczanie, że jest się białym, mimo iż kolor skóry mógł temu zaprzeczać, nie było niczym wyjątkowym.

Duchowe i historyczne więzy Brazylii i Afryki sięgają ponad geograficzną rozłąkę. Wyniki spisu powszechnego pokazują rosnącą akceptację i dumę z tego, kim się jest i skąd się pochodzi – włącznie z dumą z korzeni afrykańskich. Dla przybysza z zewnątrz odkrywaniem afrykańskich wpływów to czysta przyjemność – jak idealnie słodko-kwaśna *caipirinha* na tarasie z widokiem na morze. Niestety, gorzki smak pozostawia świadomość, że wewnętrzne podziały w samej Brazylii wciąż pozostają głębokie. Jak ocean. ○

GDZIE SZTUKA SPOTYKA NATURĘ

Mikołaj Gospodarek

ZŁOTA, ALE BIAŁA

Polska część Parku Mużakowskiego urzeka naturalnością. Śnieg chwilowo przyprószył drzewa, ale już pierwsze promienie słońca zwrócą światu niezwykle kolory polskiej złotej jesieni.





ZAMEK NOWY

Okazała budowla widoczna jest z wielu miejsc parku. Spacerując, można dojrzeć ją przez gałęzie albo podziwiać jej piękno w pełnej krasie z parkowych polan.

Największy w Europie transgraniczny park w stylu angielskim zajmuje obszar prawie 700 hektarów, podzielonych asymetrycznie przez Nysę Łużycką i biegnącą jej korytem granicę. Po stronie niemieckiej znajduje się jedna trzecia historycznej kompozycji, z głównymi budynkami i ogrodami, a prawie 500 hektarów po polskiej stronie to park naturalistyczny. Są to dwie zupełnie różne części, które w niezwykły sposób się dopełniają. Stwarzają poczucie

niekończącego się lasu, który jednak został posadzony przez człowieka.

ROMANTYCZNY KSIĄŻĘ PÜCKLER

Park założył w I połowie XIX wieku arystokrata pruski, książę Hermann von Pückler-Muskau (1785–1871). Był on pomysłodawcą i twórcą projektu. Inspiracji szukał podczas podróży po Europie. Zanim pozyskał większe



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

tereny, zaczął od upiększania otoczenia swojego pałacu – XVII-wiecznej rezydencji, zbudowanej w miejscu wcześniejszego grodu obronnego. Pierwsze ogrody powstały na łące przy zamku i nazwane zostały na cześć wybranki księcia, Lucie von Hardenberg, Doliną Owcy, a później Łąką Łez. Po wschodniej stronie rzeki wzniesiono zespół budowli służący rozrywce i kontemplacji natury, zwany Anglią. Wybudowano też drogi, mosty, a w 1823 r. otwarto uzdrowisko bazujące na źródłach mineralnych.



Park Mużakowski to jedno z najwybitniejszych osiągnięć europejskiej sztuki ogrodowej. Trudno uwierzyć, że miejsce tak niezwykle naturalne zostało w większości zaprojektowane i przez wiele lat pielęgnowane było ludzką ręką. Trudno też uwierzyć, że Polakom jest właściwie nieznane.

Koszty realizacji tych projektów oraz wystawny tryb życia wpędziły Pücklera w poważny kryzys finansowy. Ratunkiem miał być fikcyjny rozwód i zawarcie nowego, korzystnego finansowo związku. W celach matrymonialnych udał się książę do Anglii. Jednak zamiast z nową żoną, wrócił z... nowymi pomysłami na rozbudowę parku. Doprowadziły one do powstania nowych ogrodów, budynków i – w efekcie końcowym – do bankructwa Pücklera. Po 30 latach pracy był zmuszony sprzedać majątek. Zdołał urzeczywistnić tylko część swoich planów.

Park trafił jednak w dobre ręce księcia Fryderyka Niderlandzkiego – był on godnym następcą i przez długie lata kontynuował prace z poszanowaniem dla koncepcji Pücklera. W tym czasie lekkie drewniane budynki zastąpione zostały murowanymi, a zamek zyskał neorenesansowy charakter. Powstały także nowe budowle. Po śmierci Fryderyka Nider-



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

MOST FUKSJI

Ten mostek prowadzi do Ogrodu Niebieskiego, zacisznego miejsca sprzyjającego wypoczynkowi.

landzkiego właścicielem parku został Traugott Heinrich von Arnim, osobisty sekretarz Bismarcka. Zastąpił on stare budowle nowym kompleksem gospodarczym i zmodernizował pałac. Wprowadził też w ogrodach nieznaczne modyfikacje, które pozostały jednak w zgodzie z wizją założyciela. Wyrazem uznania dla księcia było postawienie w centralnej części parku pomnika zwanego Kamieniem Pücklera.

Potem nastąpiły długie lata zapomnienia podczas przetaczających się przez Europę wojen. Dopiero w końcu lat 1980. zostały podjęte prace, które mają przywrócić świetność tego miejsca. Jest to proces niezwykle czasochłonny, bo natura przez lata je zmieniała. Wiele miejsc zarosło, w innych sam człowiek dokonał zniszczeń w krajobrazie. Potrzeba teraz wielu lat, żeby wygląd parku zbliżył się do pierwotnego projektu.

SPECYFIKA PRZYGRANICZA

Dojazd do Łęknicy, miejscowości, w której znajdują się wejścia do parku, jest bardzo wygodny dla mieszkańców południowej części kraju. Oznacza to podróż autostradą A4 aż do A18, w kierunku Olszyny. Następnie trzeba zjechać w miejscowości Królów na drogę krajową nr 12 i kierować się w stronę granicy polsko-niemieckiej. Z innych kierunków najlepiej jechać na Zieloną Górę, później Żary, gdzie znajdziemy wcześniej wspomnianą drogę nr 12. Dojazd do Łęknicy prowadzi niezwykle malowniczą trasą. Od miejscowości Trzebiel droga wije się wśród lasów i przemierza obszerne pola. Po skręcie do centrum miejscowości można się nieco zdziwić. Pierwsza napotkana stacja benzynowa pokaże ceny paliw w euro, a im bliżej granicy, tym więcej budek z papierosami, z cenami w euro oczywiście.



Jadąc ulicą 1 Maja, należy skręcić w prawo przed zjazdem na most i w części brukowaną drogą dojechać do parkingu przy ulicy Wybrzeżnej. Tu proponuję pozostawić samochód. Zwiedzanie można kontynuować pieszo lub rowerem. Park oferuje prawie 32 km ścieżek. Po stronie niemieckiej, w miejscowości Bad Muskau, również znajduje się parking przy parku, ale jest on płatny, a poza tym większą przyjemność będziemy mieli, kiedy przekroczymy granicę o własnych siłach przepięknym podwójnym mostem.

Przez cały pobyt w tym miejscu można dokonywać wyboru pomiędzy polskim a niemieckim. Zaplecze noclegowe w Łęknicy pozostawia niestety wiele do życzenia. W sezonie można wybierać w kwatery, ale już jesienią

czy zimą sprawa ma się o wiele gorzej. Można wtedy wynająć coś po stronie niemieckiej, choć ceny są tam oczywiście dużo wyższe. Z gastronomią też nie jest zbyt dobrze. W samym parku znajduje się jedynie kawiarnia. Po polskiej stronie jest kilka punktów, ale są one mocno oddalone od parku. W Bad Muskau, tuż za granicą, na drodze do rynku także znajdziemy kilka restauracji.

Pewnego rodzaju atrakcją jest również przygraniczny targ zwany „Europa”, nastawiony głównie na przyjeżdżających na zakupy Niemców. Kupić można tam dosłownie wszystko i aż żal pomyśleć, że Łęknica bardziej znana jest właśnie z tego największego bazaru na zachodniej granicy niż pięknego Parku Mużakowskiego.

ZŁOTO GÓRA

Wraz ze zmianą dnia, światła i temperatury, park zmienia swoje oblicze. Tym razem zima przegrała – w południe wróciły jesienne kolory.

NIECH CIĘ PARK PROWADZI

Jeśli zaczniemy zwiedzanie od ul. Wybrzeżnej, to park sam dalej będzie nas prowadził, stopniując kolejne zachwyty. Już na samym początku zauważyć można mnogość dróg. Wszystkie zachęcają do zobaczenia, co kryje się za kolejnym zakrętem. W ten sposób można godzinami spacerować po wygodnych alejkach. W charakterystycznych miejscach widokowych znajdują się kamienne ławeczki. Z tych punktów zazwyczaj rozciąga się wspaniały widok. Całość parku została tak zaprojektowana, że gdziekolwiek by nie spojrzeć przez ramę od obrazu, stworzy się harmonijny kadr.

Ja zaryzykowałem, mapkę schowałem do kieszeni i szedłem przed siebie. Naprawdę warto dać się ponieść fantazji twórcy tego miejsca. Za każdym zakrętem odkrywałem coś zupełnie nowego. Po stronie niemieckiej oglądałem przepiękny pałac. Przechodziłem licznymi mostkami i podziwiałem z daleka całą paletę jesiennych barw. Dałem się uwieść urokowi Jeziora Dębów. Stojąc w cieniu wielowiekowych drzew, które ksiądz pozostawił, nadając im imiona, jeszcze mocniej odczuwa się naturalność tego miejsca.

Po stronie polskiej park jest równie niezwykły. Wiele leśnych ścieżek przecina go we wszystkich kierunkach, a czasem ze zbocza wysokiej skarpy podziwiać można całą okolicę. Ukryte wśród drzew kamienne mosty tworzą bajkowy krajobraz. Należy uzbroić się w cierpliwość, bo nie wszystko podane jest na tacy – czasem trzeba przejść spory kawałek drogi, zanim między drzewami ukaze się panorama z widokiem na zamek, której kilka kroków wcześniej nic nie zapowiadało.

Park zawdzięcza swoje piękno niezwykle- mu położeniu w obrębie Łuku Mużakowa. Jest to powstała podczas zlodowacenia środkowo-polskiego ogromna podkova, długości prawie 40 km i szerokości od 3 do 5 km. Łuk Mużakowa uważa się za najpiękniejszą morenę czołową na świecie. Ogromne różnice terenu, wąwozy, doliny, przełomy Nysy Łużyckiej to raj dla wszystkich kochających przyrodę.

Uderzający w Parku Mużakowskim jest również spokój. Cisza wypełniająca to miejsce pozwala niezwykle odpocząć. Ogrom terenu sprawia, że nawet przy sporej liczbie spaceru-



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

jących nie odczuwa się przytłaczającej obecności innych ludzi. Poranki i wieczory przyciągają do parku całe rzesze starszych mieszkańców Bad Muskau wyprowadzających swoje psy.

Trudno jest w słowach zawrzeć piękno tego miejsca. Fotografie nie pokażą wypełniającej go ciszy przerywanej szumem płynącej

SMĘTEK MUŻAKOWA
Jeden ze zbiorników wodnych na terenie Parku Krajobrazowego „Łuk Mużakowa”. Takich jezior jest tutaj aż 110, a powstały w miejscu starych wyrobisk górniczych.



wody czy szelestem liści muskanych wiatrem. Tam trzeba pojechać i to wszystko zobaczyć. Wejście do parku idealnie separuje od świata zewnętrznego. Panujący spokój wynagrodzi trudy nawet najdłuższej podróży. Wiosną i jesienią park prezentuje się w magicznych kolorach. Warto również oglądać go w różnych po-

rach dnia, bo wraz ze zmianą światła zmienia się oblicze wielu miejsc. Zima może również dostarczyć niezwykłych wrażeń, a brak liści odsłoni wiele tajemnic.

Trzeba po prostu pojechać, obejrzeć. Zapewniam, że na jednej wizycie przygoda w tym miejscu się nie zakończy. ◯

Florida Keys to zespół 1700 wysp koralowych. Stanowią najdalej wysuniętą na południe część Stanów Zjednoczonych. Od początku chcieliśmy dotrzeć do ostatniej w łańcuchu, Key West. Po drodze powtarzano nam, że im dalej na południe, tym ludzie są bardziej otwarci, szaleni i... zrzucają z siebie więcej ubrań.



STAN SŁONCA

Anna Bugajna





SIEDMIOMILOWE MOSTY

Seven Miles Bridge (fot. na górze) łączy Little Duck Key i Key Vaca. Stary Siedmiomilowy Most (fot. na dole) został zniszczony przez huragany. Dziś jest nieprzejezdny, stoi i straszy, co stanowi atrakcję turystyczną.

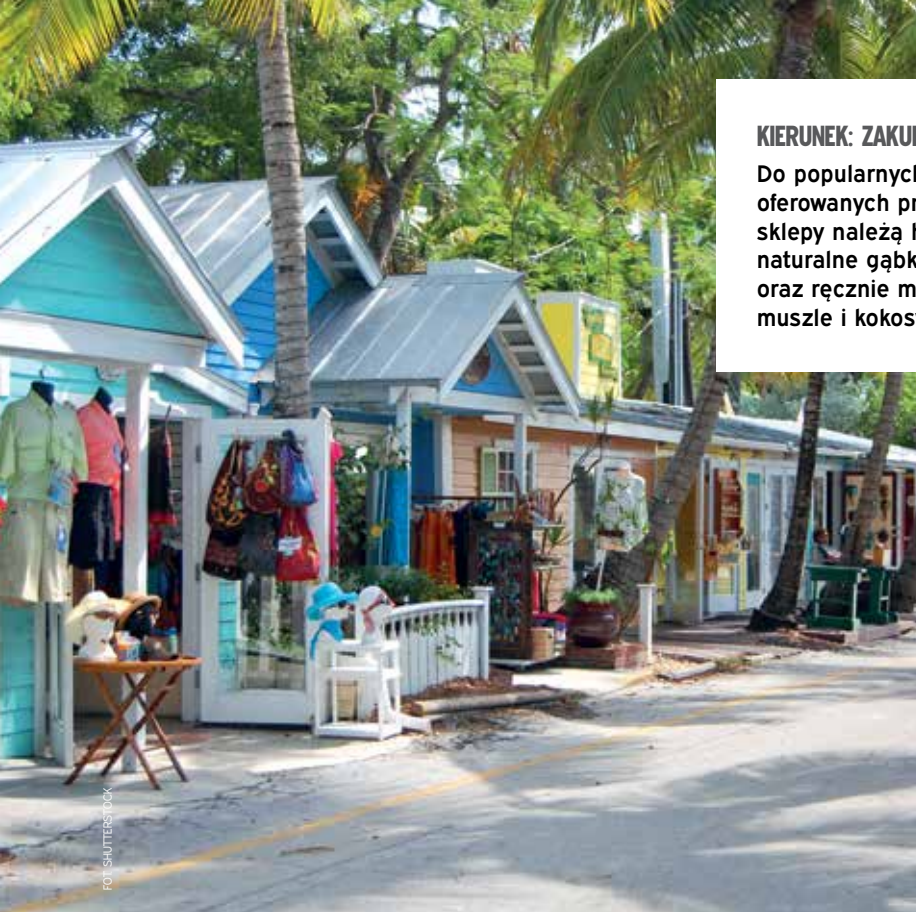


huragan Labor Day w 1935 roku. Miejscami z wody wynurzają się jego pozostałości, które wyglądają jak postapokaliptyczne fragmenty starego świata wśród błękitnych rajskich lagun, co stanowi oczywiście całkiem niezłą atrakcję turystyczną.

PIEKIELNA DROGA DO RAJU

Gdy przejeżdżałyśmy przez wyspy, cały czas otaczała nas woda. Z jednej strony Zatoka Meksykańska, z drugiej ocean. Momentami groble były tak wąskie, że mieściły na sobie jedynie asfalt i nawet kilkucentymetrowy wzrost poziomu morza mógłby zalać drogę. Kajaka w bagażniku nie miałyśmy, więc odetchnęłyśmy z ulgą, kiedy zza deszczowych chmur wyszło słońce. Jednak gdy powoli rozgrzewało wilgotne powietrze, przy każdym oddechu miałam wrażenie, jakbym nurkowała w kotle z wrzątkiem. Temperatura wzrosła i nie było żadnej różnicy pomiędzy cieniem a rozgrzanym asfaltem. Przed upałem chronić może jedynie klimatyzacja, jednak w naszym tajemniczym pojeździe jej zbyt długa praca powodowała problemy z silnikiem. Nasza droga do raju okazała się istnym piekłem.

Droga na Key West, zwana Overseas Highway, biegnie po wyspach, wąskich groblach, a nawet pomiędzy nimi, unosząc się nad wodą w postaci najdłuższych mostów, jakie dotąd widziałam. Najbardziej okazały, przebiegający pomiędzy Little Duck Key i Key Vaca, nazwany został Seven Miles Bridge. Dziś liczy on zaledwie 6,7 mili – historyczny siedmiomilowy most został zniszczony przez



KIERUNEK: ZAKUPY

Do popularnych pamiątek oferowanych przez liczne sklepy należą hamaki, naturalne gąbki do ciała oraz ręcznie malowane muszle i kokosy.



Na Florida Keys fotografie wychodzą idealnie. Wystarczy wyciągnąć przed siebie aparat i nacisnąć spust migawki – pocztówkowe zdjęcia gwarantowane. Plaże z białym piaskiem otoczone wysokimi palmami, niebo zlewające się z wodą i ukrytą w błękicie linią horyzontu. To codzienność dla mieszkańców wysp.

W poszukiwaniu najpiękniejszej plaży udałyśmy się do Parku Narodowego Biscayne. 95 procent jego powierzchni to woda, a do niektórych wysp można dostać się jedynie łodzią, co stanowi idealne warunki dla spokojnego egzystowania najróżniejszych okazów fauny i flory. Park oferuje rejsy łodziąmi ze szklanym dnem lub podwodne spacery ze sprzętem do nurkowania, by podziwiać barwną rafę koralową. My wybrałyśmy opcję leniwego dnia na plaży.

Na Florida Keys nocleg zapewniony miałyśmy u Trenta w ramach couch surfing. Jak wielu już wie, łączy on najbardziej pomysłowych i mobilnych ludzi na całym świecie. Są najlepszymi przewodnikami, otwartymi i zawsze chętnymi do snucia historii o miejscach, w których byli i do których pragną dotrzeć. Trent również podróżował, był jednym z wielu

tymczasowych mieszkańców wysp. Przyjechał do pracy na okres kilku miesięcy. Pracował przy usuwaniu obcych gatunków roślin, które przybyły razem z nowymi osadnikami i zaczynały niszczyć pierwotną florę archipelagu.

Zaskoczył nas, gdy przyznał, że przygodę z couch surfingiem zaczął na Florida Keys z nudów. Wszyscy jego rówieśnicy wyjechali zaraz po zakończeniu sezonu, a on pozostał ze swoim pięćdziesięcioletnim sąsiadem, który smutki topił w kolejnych szklankach alkoholu. Dla turystów pobyt na Florida Keys to ciągła zabawa, jednak dla stałych mieszkańców to walka z nudą, a pozorna kraina szczęścia szybko może zamienić się w depresyjną monotonię. Na wyspach alkoholizm jest dużym problemem, co może potwierdzić istnienie ponad dwudziestu grup AA.

Na archipelagu obowiązuje ścisła ochrona unikalnej flory i fauny. Pobocza dróg gęsto usiane są znakami ostrzegającymi przed dzikimi zwierzętami. Zastanawiałyśmy się, gdzie na tak niewielkich wyspach pozbawionych lasów mogą przebywać czterokopytne zwierzęta wielkości jelenia, bowiem to głównie one widnieją na znakach. Trent wyjaśnił nam w końcu, że na Florida Keys żyje tzw. *key deer*.



FOT. SHUTTERSTOCK

KLUCZ DO KARAIBÓW
Key West to najbardziej wysunięty na południe punkt kontynentalnych Stanów Zjednoczonych.

Są mniejsze od zwykłych jeleni (męskie osobniki osiągają 76 cm wysokości), a ich ilość sprawia mieszkańcom coraz więcej problemów. Częste są wypadki samochodowe z ich udziałem, niszczą również ogródki i płoty.

Zamknięcie ich na jednej z wysp nie dało długoterminowego rozwiązania, bowiem zwierzęta z łatwością przepływają pomiędzy nimi. Następnego ranka mogłam na własne oczy przekonać się o ich istnieniu. Dwójka miniaturowych saren obwąchiwała nasz samochód, po czym długo wpatrywała się we mnie swoimi czarnymi jak węgiel oczami. *Key deers* są przyzwyczajone do obecności człowieka, jednak na łaskotki za uchem nie pozwalają.

REPUBLIKA MUSZLI

Na Florida Keys jest wiele domów na sprzedaż, a każdy z nich wygląda jak rezydencja z widokiem na Eden. Kupowane są przeważnie przez emerytowanych Amerykanów, którzy jeszcze za życia pragną osiągnąć niebo. Młodsza część społeczeństwa amerykańskiego przybywa tu jedynie w sezonie, czyli w okresie zimowym, podczas przerwy w szkołach i na uczelniach. Kiedy północną część kraju ścisza mroź, na Florida Keys temperatura utrzymuje

się w granicach 20 stopni Celsjusza, a powietrze nie jest tak wilgotne, jak w okresie letnim. Są to idealne warunki dla rozpoczęcia licznych festiwali i zabaw.

Florida Keys to jeszcze nie Karaiby, choć właśnie tak wyobrażałam sobie wymarzone miejsce piratów, wyspę Tortuga opisywaną przez Jacka Sparrowa. Na Key West istniał niegdyś jeden z najważniejszych portów, gdzie w czasach prohibicji szmuglowano rum i piwo z Kuby. Rafa koralowa, którą dzisiaj turyści oglądają z zachwytem, w XVIII wieku była zmorą żeglarzy. Wokół wysp na dnie zalega dziewięć wraków, zarówno osiemnastowiecznych hiszpańskich galeonów, jak i okrętów z II wojny światowej, które zatoniły u ich wybrzeży. Można je podziwiać na specjalnie do tego utworzonym podwodnym szlaku, zwanym „The Florida Keys Shipwreck Trail”.

W 1982 r. straż graniczna dokonała blokady drogi US-1 i wprowadziła szczegółowe kontrole paszportowe, co miało zapobiec nielegalnej imigracji z Kuby. Wpływało to jednak bardzo niekorzystnie na rozwój turystyki, która jest podstawą utrzymania wielu mieszkańców. W ramach protestu zaczęli starać się o uznanie niepodległości Florida Keys. Symbolika utopijnego państwa Council Republic (Republika Muszli) dziś stała się atrakcją tu-

rystyczną, a emblematy z flagą można kupić w każdym sklepie z pamiątkami. Rocznicą tego wydarzenia to kolejna okazja do zabawy w czasie Independence Celebration, a na oficjalnej stronie republiki można złożyć wniosek o unikatowy paszport Counc Republic.

FESTIWAL SZTUK NOCNYCH

Ulica Duval na Key West znana jest dzięki licznym dyskotekom i pubom. Oprócz nich można czasami znaleźć sklepy z pamiątkami lub alkoholem. Nawet w zwykły dzień w środku tygodnia ulica wypełniona jest tłumem ludzi. Wszyscy noszą w rękach puszkę piwa i tańczą na werandach barów. Tu każdy znajdzie coś dla siebie. Są lokale zarówno spokojne, z bilardem i grami komputerowymi, jak i te z głośną muzyką graną na żywo. Dyskoteki mają zazwyczaj kilka pięter, a główny parkiet znajduje się na dachu.

Trent zaprowadził nas do jednej z nich, twierdząc, że koniecznie musimy to zobaczyć. Jej nazwa „Garden of Eden” nie wzbudziła we mnie żadnych podejrzeń. Wstęp do niej dozwolony jest od lat 21. Parkiet znajduje się pod gołym niebem, na samym szczycie budynku, a na nim zabawę rozkręcają ludzie nadzy. Ten „ubiór” jest dość popularny wśród gości „Garden of Eden”, choć nie wszyscy stosują się do tradycji. Poza sezonem popularność dyskoteki podtrzymują głównie emerytowani mieszkańcy wyspy. Wyszliśmy stamtąd dość szybko.

Na Key West jedną z głównych zasad, obok dobrej zabawy, jest tolerancja. Na ulicy Duval istnieje wiele barów i dyskotek dla homoseksualistów. Znalazliśmy również bar z drag queens, gdzie codziennie urządzone są występy, a „panie” z niezwykle męskimi pośladkami stoją na ulicy i zapraszają gości na zabawę.

Każdy ze stanów w USA ma swoje własne hasło, które dla Florydy brzmi „The Sunshine State” (Stan Słońca). Na Key West codziennie celebryje się zachody słońca nad Mallory Square, tuż obok przystani dla statków. Każdego dnia, kiedy słońce znika za horyzontem, na placu rozgrywa się istne szaleństwo połączone z Night Art Festival. Tłumy ludzi przelewają się przez plac i próbują uchwycić obiektami ten niezwykle, a jakże codzien-



FOT. ANNA BUGAJNA

NO NAME PUB

Właściciele tego przybytku na Pine Key twierdzą, że ten, kto znajdzie ich bezimienny pub, zostanie nagrodzony najlepszą pizzą w okolicy, daniami z wędzonej ryby i niezapomnianą atmosferą.

Jeśli go znajdzie...



FOT. ANNA BUGAJNA

BAJU BAJU NOCĄ

Na Key West można spotkać tubylczego wróżbitę, który odczytuje z dłoni przeszłość i przyszłość.



FOT. ANNA BUGAJNA

ZAKLINACZ KOTÓW

Szalony Francuz swoim śmiechem bawił i budził grozę, a wytresowane przez niego koty skakały przez płonące obręcze.



FOT. ANNA BUGAJNA

SUNSET CELEBRATION

Codziennie o zachodzie słońca plac Mallory Square zalewany jest przez tłumy turystów i rozświetlany fleszami aparatów.

ny widok. Jest to najlepsza okazja do zarobku dla ulicznych artystów, którzy prześcigają się w pomysłach, aby zatrzymać wokół siebie jak największą ilość turystów. Spotkałyśmy tam zarówno szalonego Francuza z wytresowanymi zwierzętami, jak i mistrza pułapek, który na naszych oczach uwolnił się z kaftanu bezpieczeństwa owiniętego grubymi łańcuchami.

Na ulicach tańczono gorącą sambę, a niektórzy odważyli się wziąć do ręki gorące pochodnie. Najciekawszym performerem był czarnoskóry mężczyzna z czupryną pełną dredów. Chował się w ciemnych kątach kamienic i zasłaniał dwoma liśćmi palmy. Kiedy ktoś przechodził blisko niego, wyskakiwał zza gałęzi, krzycząc „Ghost Man!”, po czym jego biały uśmiech znów chował się w mroku i nikt nie potrafił przewidzieć, gdzie pojawi się po raz kolejny. Celebracja zachodu słońca zaczyna się późnym popołudniem, a kończy

parę godzin po zmroku. Na resztę nocy zabawa przenosi się na ulicę Duval, gdzie trwa do samego rana.

Ostatniego dnia naszego pobytu na Florida Keys Trent zabrał nas na kajaki. Pływaaliśmy pomiędzy małymi wysepkami, całkowicie sami, otoczeni jedynie przez błękit wody i nieba. Słychać było tylko wiosła uderzające o taflę wody. Milczeliśmy, nie chcąc zburzyć harmonii.

Na Florida Keys jest wszystko, czego potrzebuje turysta: zatłoczone plaże, świetne jedzenie i atrakcje, których nie da się zliczyć. Są jednak miejsca daleko od ludzkiego gwaru, gdzie prawdziwą przyjemność można czerpać z obserwowania horyzontu i pośród niebieskich lagun wciąż powtarzać: „Naprawdę tu jestem”. A ja tam byłam i mleko kokosowe piłam... ○

Poznaj świat



XT1200Z World Crosser
www.yamaha-motor.pl





Mój syn postanowił zostać gitarzystą. Nie będę mu stał na przeszkodzie, czas najwyższy, by się chłopak usamodzielniał. Ma pięć lat i niewielkie szanse, że kiedyś nauczy się czytać.



Droga do kariery jest niełatwa, tu również zaczęło się od inwestycji. W hiszpańskiej Grenadzie kupiłem mu gitarę, na której widniał dumny napis, że to nie zabawka, a instrument muzyczny. To dość oczywiste, zabawki mają jakieś wyczesane w kosmos normy bezpieczeństwa, a instrument, wiadoma rzecz, może zaszkodzić. Niejednemu już zaszkodził, wystarczy spojrzeć na panów z Budki Suflera lub na Keitha Richardsa, którym bliski kontakt z instrumentami odbił się na zdrowiu i twarzach. Gitara jest hiszpańska, z dumnym napisem „Made in China” gdzieś w pudle rezonansowym, i odmieniła życie mego syna, mniej więcej tak jak kilka dni wcz-

śniej wielki pistolet na wodę z Portugalii („Made in China” wygrawerowane z boku) i wspaniała piłka z Austrii kilka dni później. Nie wspominałem, że i zakup piłki podniósł nieco produkt krajowy brutto Chin i przyczynił się do wzrostu ujemnego bilansu handlowego Unii Europejskiej z Państwem Środka? To pewnie z poczucia winy, że tyle klęsk w trudnym czasie kryzysu sprowadził na nasz kontynent jeden niewielki pięciolatek i jego nieodpowiedzialny ojciec.

Ojciec, dodajmy, może i nieodpowiedzialny, ale szczęśliwy, bo w tym roku udało mu się rozwiązać problem pamiętek z wakacji. Problem ten wydawał się nierozwiązywalny niczym dylematy filozofów: od ilu zapalek zaczyna się stos czy co to jest nic. Choć przypomnijmy

tu, że na to ostatnie pytanie odpowiedzieli już filozofowie rosyjscy, którzy orzekli, że nic to jest pół litra na trzech. Wracając jednak do dylematu rodzicielskiego, to w jego rozwiązaniu pomogła instytucja kieszonkowego.

Otóż każde z jeszcze-nie-nastoletniego potomstwa dostało w dniu wyjazdu po 25 euro. Wirtualnych euro, bo kasę trzymała matka, jako osoba o najmniejszych w rodzinie skłonnościach do mawersacji. Umowa była prosta: lody i inne przypadki zdrowej żywności, tudzież akceptowalne egzemplarze odzieży, która się może przydać, fundują starzy. Wachlarze, samochodziki, maskotki i pozostałe dzieła sztuki wykonane przez małe chińskie rączki trzeba sobie nabyć samemu.

W tym wypadku lepsze nawet okazało się określenie kieszonkowego z góry niż sączenie go tygodniowe. Z jednej strony można było kupić coś droższego – całkiem ładny i przydatny skądinąd kapelusz słomkowy za 7 euro (kraju pochodzenia, by nie drażnić, nie wspomnę, ale wszyscy Państwo wiedzą, gdzie leży Pekin). Z drugiej jednak strony wizja gwałtownego wysuszenia kurka z kasą podziałała na wyobraźnię, zwłaszcza starszej nieco części mej progenitury.

Wspomniany syn szybko jednak wykorzystał fakt bycia jedynym wnuczkim odurzonej miłośnią do niego babci. Resztę mogą sobie Państwo dośpiwać: imieniny, babcia, telefon i prośby: „Synu, kup mu coś ode mnie, przecież ja tu niczego nie dostanę”. Fakt, w Hiszpanii jest zupełnie inny i znacznie bogatszy wybór chińszczyzny.

Poza jednak takimi incydentami operacja przebiegła udanie. Syn nabył jeszcze rycerza z Kordoby, policjanta z Barcelony, stateczek z Przylądka Św. Wincentego i kilka kilogramów innych niezbędnych dla początkującego gitarzysty rupieci. W charakterze pamiątek córek, prócz kapelusza, przywędrowały do Warszawy żaby z Salamanki, wachlarze z Sewilli, lawendowe pachnidła z Fatimy, koguciki z Porto i plastikowe klipsy z Grenady. Ale żeby Państwo sobie nie myśleli, że w tym domu wszystko mamy chińskie, a skąd! W końcu sam kupiłem dziewczynom bluzko – spódnico – spodnie zwane swojsko przez wszystkich znających się na rzeczy „one-piece-ami”. Te bez wątpienia były hinduskie.

Zasadniczo patent ten można by rozszerzyć i uprościć, a w ślad za tym zaoszczędzić sporo grosza, organizując zamiast tych męczących peregrynacji jeden wyjazd do hurtowni chińskich zabawek gdzieś pod miasto. Tam wypuszczona dzieciarnia mogłaby oddać się szalowi konsumpcji, a my uniknęlibyśmy tego kłopotliwego przeliczania ceny oryginalnej hiszpańskiej gitary z juanów na euro i potem na złote. Co prawda, postępując zgodnie z tą zasadą, można by od razu zarządzić całkowite przejście na juany, bo skoro i tak kupuje-



ORGANIZATORZY




KIELCE BIKE-EXPO

Międzynarodowe Targi Rowerowe 3-5 października 2013, Kielce

Imprezy towarzyszące targom:

- Finał **MTB CROSS MARATON**
- Zawody **BMX BIKE EXPO CONTEST**
- **POKAZY MODY ROWEROWEJ**
- **KONFERENCJE** „Zarządzanie ruchem rowerowym w mieście” oraz „Bezpieczna turystyka rowerowa”
- **RAJDY ROWEROWE PTTK** z metą na targach Kielce Bike-Expo
- **ROWEREM PRZEZ POLSKĘ** PTTK - turystyka rowerowa w Polsce
- **Szkolenia, spotkania dealerskie**

INFORMACJE:
 Menedżer Projektu:
 Joanna Marcjan
 tel. 41 365 12 43,
 fax 345 62 61
 e-mail:
 marcjan.j@targikielce.pl

Współpraca:      

Patronat medialny:     

www.bike-expo.targikielce.pl
www.facebook.com/KielceBikeExpo

my tylko to, co z juana, to mogliby nam i w juanach od razu płacić, nieprawdaż? Tak dla wygody. Ale zostawmy geopolitykę.

Moja praktyczna żona też sobie nabyła coś na kształt owego „one-piece’a”, lecz to był wyjątek. Reszta jej wakacyjnych pamiątek zalega w lodówce. Włoskie szynki wyglądają imponująco i smakują znakomicie, choć jedna z nich – powiedzmy to głośno – cuchnie bardziej od serów. To pewnie dlatego sąsiedzi wzywają wojska chemiczne, ilekroć otwieramy lodówkę. No cóż, nasłuchali się o tej Syrii i się przewrażliwili, tak bywa.

Jednak i tak żoninym (jak to nie ma takiego słowa, jest!) rekordem będzie

chyba na zawsze kupiony przeze mnie w mało romantycznych okolicznościach, bo na stacji benzynowej, ale za to pod Wenecją, słoik „Nutelli”. Pięcioletni. W tym większe rozbawienie wprawił nas sprzedawany gdzie indziej słoiczek o pojemności 850 ml z napisem „Family size”. A w takim razie nasz to co? „Pułk wojska size”?

W tej sytuacji najlepiej na zakupie pamiątek z wakacji wyszedłem ja. Co prawda nigdzie nie znalazłem koszulki z Julio Iglesiasem, za którą to koszulką szaleję od dawna, i w związku z tym nie przywiozłem sobie nic, choć pamiątek kupiłem sporo. Ale wszystkie wypięłem na miejscu. ○

Moczary Europy

Jerzy Machura

Finowie mówią, iż tworząc świat, Bóg zapomniał oddzielić w ich krainie ziemię od wody. W efekcie powstał największy na świecie naturalny park zwany „Krajem Tysiąca Jezior” – choć tak naprawdę jezior jest tam znacznie więcej.





Oryginalna nazwa Finlandii, Suomi, oznacza ni mniej, ni więcej tylko „moczary”, bo aż 30 proc. jej terytorium stanowią podmokłe łąki i bagna, a prawie 80 proc. powierzchni pokrywają lasy, co jest rekordem Europy. Dostrzegłem to wyraźnie, gdy wpływałem promem do Helsinek, mijając liczne wyspy (jest ich aż 315).

Stolicę Finlandii nazywa się „Gibraltarem Północy”, a także „Córą Bałtyku”. Finowie określają ją też jako „Bramę do Europy”, i coś w tym jest. Bo rzeczywiście różni się od innych, czysto europejskich metropolii. Przez wiele lat kraj ten był miejscem, gdzie ścierały się wpływy kultur Wschodu i Zachodu, stąd też w Helsinkach spotkać można sąsiadujące z sobą cerkwie i zbory luterańskie.

SZANUJ OKUPANTA SWEGO

Na wygląd miasta ogromny wpływ wywarła historia. Finlandia, podbita w 1809 r. przez Rosję, została przekształcona w Wielkie Księstwo Finlandii. W 1812 r. car Aleksander I przeniósł stolicę z Turku do Helsinek. Gdy w czasie wojny rosyjsko-szwedzkiej miasto spalono, car stał się hojnym sponsorem. Przeznaczył spore pieniądze na odbudowę, ale nie bezinteresownie: chciał, by Helsinki przypominały Sankt Petersburg. I przypominają.

Za rządów Aleksandra II kraj cieszył się znaczną autonomią, a obywatele mieli więcej swobód niż narody w wielu krajach Europy, o Rosji nie wspominając. Nie dziwi więc, że mimo późniejszych animozji w stosunkach fińsko-rosyjskich, a zwłaszcza fińsko-radzieckich, mieszkańcy Suomi pamiętają o zasługach carów, a w Helsinkach spotkać można wizualne dowody tej sympatii. Jest nim np. pomnik Aleksandra II – otoczony przez cztery figury: Lex (prawo), Lux (światło), Pax (pokój) i Labor (praca) na placu Senackim. Inny to Kamień Carycy na placu Targowym, upamiętniający wizytę Aleksandry Fiedorowny,



FOT. SHUTTERSTOCK

która w 1833 r. statkiem parowym przybyła tu wraz z carem Mikołajem I. Obelisk ozdobiony jest dwugłowym orłem carskim Romanowów wykonanym z brązu, a litery inskrypcji wykonano ze złota. Co ciekawe, choć orzeł został zdjęty przez sympatyków Rewolucji Październikowej, w 1972 r. powrócił na swoje miejsce.

Ta nieskrywana sympatia do byłych wrogów to chyba cecha Finów. Gdy w większości krajów o dawnych okupantach mówi się z pogardą, w Finlandii wznosi się im pomniki i zachowuje ich język. Kraj ten był kiedyś częścią Szwecji, ale ta okupacja nie pozostawiła w Finach zadry w stosunku do zachodniego sąsiada, lecz... podwójne nazewnictwo. Helsinki to po szwedzku Helsingfors, Turku to Åbo, podwójne są też nazwy ulic, a szwedzki jest drugim językiem urzędowym. Może dlatego Finowie uchodzą za przykład wzorowych sąsiadów i może dlatego właśnie Helsinki w 1975 r. były miejscem obrad Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, na której spotkali się przedstawiciele 33 krajów Starego Kontynentu oraz USA i Kanady.



FOT. SHUTTERSTOCK

NISKIE JEST PIĘKNE

Wróćmy jednak do wycieczki po mieście. Jego niska architektura sprawia wrażenie, że gród wydaje się dość mały i jakby prowincjonalny w porównaniu do innych europejskich miast stołecznych. Ale jest w tym niewątpliwy urok. Wokół wspomnianego placu Senackiego skupia się blisko 30 neoklasycychnych budowli o jasnych, pastelowych barwach, które spowodowały, że Helsinki zyskały sobie jeszcze jedną nazwę: „Białe Miasto Północy”.

KU CZCI NAJEZDZCY

Plac Senacki w stolicy Finlandii. Przed katedrą luterąską stoi pomnik... rosyjskiego cara Aleksandra II.



KOŚCIÓŁ JAK SKAŁA

Oryginalny w formie kościół Tempeliaukio został wykuty w skale, na zewnątrz wystaje tylko kopuła.

Architektura stolicy jest efektem nałożenia się wpływów stylu petersburskiego i nowoczesnych projektów czołowych XX-wiecznych fińskich architektów. Najważniejsze punkty programu zwiedzania Helsinek to katedra luterska przy placu Senackim oraz zwieńczona 13 kopułami cerkiew Uspieńska (Wniebowzięcia) – największy w północnej i zachodniej Europie kościół prawosławny. Warto dodać, że jeszcze w 1880 r. aż 75 procent zabudowy Helsinek stanowiły dwu- i trzypiętrowe drewniane domy, tak charakterystyczne dla fińskiej kultury.

NARODOWO-ROMANTYCZNY

Budynek dworca kolejowego w Helsinkach to przykład monumentalnej architektury określanej mianem narodowego romantyzmu.

Nie sposób pominąć też bardzo oryginalnego w formie kościoła Tempeliaukio. Został on wykuty w skale i jest pięknym przykładem zgrania

natury z architekturą. Ideą projektu było zachowanie i wykorzystanie skalnego wzgórza wznoszącego się 13 metrów nad otaczające je ulice. Oświetlenie groty wspomagane jest przez światło słoneczne, co daje dodatkowe efekty. Może tam zasiąść 940 osób, a budowla ma tak świetną akustykę, że organizuje się w niej koncerty.

Warto też zobaczyć oryginalny pomnik Jeana Sibeliusa, najślawniejszego fińskiego kompozytora, oraz Stadion Olimpijski zbudowany na igrzyska 1940 roku, które ze zrozumiałych względów nie odbyły się (Helsinki zorganizowały olimpiadę dopiero w 1952 roku). Radzę też zapoznać się z tamtejszym dworcem kolejowym, budynkiem z czerwonego granitu, oddanym do użytku w 1916 r., będącym przykładem monumentalnej architektury określanej jako narodowy romantyzm. Koleje fińskie budowano w okresie rosyjskiej dominacji, nic więc dziwnego, że wyróżniają się szerszymi torami. W podziemiach dworca znajduje się okazałe centrum handlowe.

DOBRY DUCH JAGIELLONKI

Jak już wspominałem, przed Helsinkami stolicą Finlandii było Turku, znane także pod szwedzką nazwą Åbo. Miasto warto poznać nie tylko dla jego turystycznych walorów, ale także ze względu na... polską przeszłość. Gdy turysta znad Wisły odwiedzi Turku, a zwłaszcza jedną z jego największych atrakcji – masywny, kamienny zamek – przekona się z zapewne dużym zaskoczeniem, że Finowie mówią o „polskim okresie” nie tylko w dziejach tej warowni, ale i w ogóle swego kraju.



ZAMEK NASZEJ KATARZYNY

W Turku w XVI w. zamieszkała siostra króla Zygmunta Augusta – księżniczka Katarzyna Jagiellonka. Ten czas w historii Finlandii nazywany jest „polskim okresem”.

Z zaskoczeniem, bo w naszych szkolnych podręcznikach historii trudno znaleźć choćby wzmiankę o tych wydarzeniach.

Warto zatem bliżej zainteresować się historycznymi przekazami z XVI w., kiedy to we wspomnianym zamku (wybudowanym trzy wieki wcześniej) zamieszkał książę Jan, syn króla szwedzkiego Gustawa I Wazy. Ulegając namowom miejscowych notabli, szukał on współpracy z katolicką Polską. Ukoronowaniem tej polityki był jego ślub z siostrą króla polskiego Zygmunta Augusta – księżniczką Katarzyną Jagiellonką. I od tej chwili datuje się okres pomyślności w historii tego narodu. Fińscy kronikarze nie szczędzą słów uznania dla Polki, która stworzyła pierwszy w tym kraju renesansowy dwór na wzór europejski, wnosząc – nie tylko do zamkowych komnat – powiew wielkiego świata. Ponoć, co przyznają Finowie, posługiwanie się sztuccami przy posiłkach wprowadziła tam właśnie nasza Katarzyna.

Lata szczęśliwości jednak minęły, gdy chorobliwie podejrzliwy i przeciwny koneksjom z katolikami król szwedzki Eryk XIV oskarżył zawiadującego Finlandią brata o zdradę i posłał wojska na zamek w Turku. Jana wraz z Katarzyną pojmano i osadzono w szwedzkiej twierdzy Gripsholm (tam, w niewoli, przyszedł na świat późniejszy król Zygmunt III Waza). Eryk wtrącał do cel coraz to nowych oponentów, co w efekcie doprowadziło go do obłądzenia i... w przypływie żalu uwolnił brata i Jagiellonkę. Potem role się odwróciły i szlachta powstała przeciw królowi, i teraz to Eryk wylądował w lochach, m.in. na zamku w Turku. Koniecznym zatem trzeba było złożyć wizytę w warowni, której czas największej świetności wiąże się właśnie z kulturą polskiego Odrodzenia.

Podczas zwiedzania natkniemy się na polonica, przede wszystkim portret Katarzyny Jagiellonki w jej komnacie, będący – wedle muzealnego przewodnika – kopią oryginału z 1560 roku, podarowaną przez rząd pol-



FOT. SHUTTERSTOCK

ski w 1933 r. Zobaczymy także miniaturową statuetkę pomnika Zygmunta III Wazy (syna Katarzyny) stojącego przed warszawskim Zamkiem Królewskim, darowaną fińskiemu muzeum w 1965 r.

NURMI PATRZY NA KURTYZANĘ

Turku to piękne portowe miasto, przez którego centrum przepływa rzeka Aura. Inną niewątpliwą atrakcją dla zwiedzających jest pomnik słynnego fińskiego biegacza – Paavo Nurmiego, zdobywcy dziewięciu złotych olimpijskich medali na długich dystansach – usytuowany pośrodku jednej z głównych arterii miasta. Ciekawostką jest to, że sylwetka biegnącego na pomniku Nurmiego skierowana jest twarzą w kierunku postawionego ok. 200 m dalej pomnika Lailii, uważanej za najslynniejszą fińską kurtyzanę, kobietę wielkiej urody, stanowiącą natchnienie dla licznych artystów i pisarzy. A przecież małomówny i mało sympatyczny Nurmi podobno nie lubił kobiet...

Ale nie samymi wspomnieniami turysta żyje, więc będąc w Turku, warto zafundować sobie wycieczkę na pobliską, pełną zieleni wyspę Ruissalo. Stanowi ona bazę wypadową dla zwolenników różnorodnych form aktywnego wypoczynku, zwłaszcza sportów wodnych, czemu sprzyjają liczne plaże, zatoczki i przystanie. Można także pograć w golfa, a i miłośnicy koncertów rockowych chętnie tam zaglądają.

Finlandia nie jest tania, ale jej uroki – nie tylko te za kołem polarnym – warte są pieniędzy, które przychodzi tam wydać. ○



Aleksandra Lech
ekspert ubezpieczeń
podróżnych
w Ergo Hestia

Planując wyprawę po Europie, niezależnie od regionu powinniśmy pamiętać o podstawowych zasadach bezpieczeństwa, dobrym przygotowaniu i... odpowiednim ubezpieczeniu.

Wybierając ubezpieczenie na czas wyprawy do Finlandii, podróżnicy powinni zwrócić uwagę przede wszystkim na ewentualne koszty leczenia z uwzględnieniem zakresu i sumy ubezpieczenia. Aby ubezpieczenie spełniało rzeczywiste potrzeby, powinno obejmować NNW, koszty transportu z miejsca zdarzenia, a także usługę assistance, dzięki której możemy zorganizować pomoc medyczną lub transport do kraju. To ważne zwłaszcza w krajach, gdzie koszty związane z transportem medycznym są płatne i nie są pokrywane z ubezpieczenia EKUZ.

Osoby chorujące przewlekle powinny rozszerzyć zakres ubezpieczenia o następstwa takich chorób. Takie postępowanie jest rekomendowane zwłaszcza w przypadku różnic klimatycznych, różnic ciśnienia i wysiłku związanym z wyprawą.

W Ergo Hestii chcąc się ubezpieczyć na okres wyjazdu na północ Europy, klient ma do wyboru 3 zakresy oraz rozszerzenia. W tym przypadku rekomendowana suma ubezpieczenia na koszty leczenia powinna wynieść minimum 40 tys. euro. Na taki wyjazd zalecany jest wariant Holiday Charter.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

WWW.SLAJDYPODROZNICZE.PL

PATRONAT **POZNAJ ŚWIAT**

SLAJDY W LUNIE

Wwarszawskim kinie Luna 5 października rusza cykl slajdów podróżniczych „In Mundo”, prezentujący odległe zakątki

można także porozmawiać z każdym z autorów. W programie cyklu: Indie, Jedwabny Szlak, Tybet, Patagonia, Indonezja, Wenezuela, Birma, Tajlandia, Kambodża, Nowa Zelandia, syberyjska Jakucja, Andy: Boliwia, Chile, Peru, himalajskie królestwo Zanskar, wyspy Pacyfiku. „In Mundo” to inicjatywa grupy autorów, którzy od wielu lat podróżują i fotografują, przygotowując profesjonalne pokazy slajdów. Każdy z nich zjeździł ciekawe regiony świata. Katarzyna i Andrzej Mazurkiewiczowie są znawcami indyjskich Himalajów, Anna i Marcin Szymczakowie

wspólnie zorganizowali kilka wypraw trekkingowych w Andy, Ałtaj, Tien Szan, góry Elburs, Alpy Japońskie, Himalaje i Pamir, a Małgorzata Preuss-

Złomska i Marcin Złomski to prawdziwi globtroterzy, którzy w sumie przemierzali ponad osiemdziesiąt krajów na sześciu kontynentach. ○

naszego globu. Wyświetlanym na dużym ekranie kinowym obrazom towarzyszyć będzie muzyka i autorski komentarz na żywo. Po prezentacji będzie

To festiwal podróżniczy, którego tematem jest Polska – często przez wielu jeszcze nieodkryta. Do współpracy zaproszono podróżników, historyków, specjalistów różnych dziedzin, którzy opowiedzą o swojej pasji, podróżowaniu, sporcie i przyrodzie, a także o różnorodności etnicznej i religijnej w naszym kraju. Dodatkowymi atrakcjami będą warsztaty języka kaszubskiego, przegląd dróg wspinaczkowych w Tatrach z lat 1970., wykłady o zapomnianych twierdzach i zatopionych wrakach, a także o turystyce w II Rzeczypospolitej. Festiwal odbędzie się w dniach 26-27 października w Krakowie. ○

PATRONAT **POZNAJ ŚWIAT**



WWW.FILM.OMSTUDIO.PL

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

Celem tej wyprawy jest realizacja średniometrażowego fabularyzowanego dokumentu podróżniczego. Agnieszka Bałaszczuk, Paweł Brzeneczek, Jacek Jaworski i Aleksander Bartecki wyruszą 23 października ze Śląska przez Indie do

Bangladeszu. Realizowany film to historia fotografa Olka, który, zmęczony pędem przez życie, na jakiś czas porzuca walkę o byt na rynku i rusza do jednego z ostatnich bastionów życia plemiennego – ku górskim szlakom w południowo-wschodniej

części Bangladeszu. Tam, wśród matriarchalnych, animistycznych plemion, chce odnaleźć pierwiastek zaginionej na Starym Kontynencie prostoty życia społecznego. Premiera filmu przewidywana jest na połowę maja 2014 roku. ○

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

SZTUKA
POŁĄCZY
SĄSIADÓW



WWW.ARTMEETINGS.EU

Trzecia ukraińska edycja międzynarodowego festiwalu Art Meetings potrwa od 10 do 14 października. W Kijowie i Lwowie polscy organizatorzy zaplanowali szereg wydarzeń, mających na celu rozpoczęcie polsko-ukraińskiej kulturalnej współpracy i wzajemne poznanie się. Koncerty dadzą niezależni artyści z trzech krajów: Polski, Ukrainy i Estonii.

Zwienieczeniem festiwalu będzie premiera unikatowego na skalę światową obiektu – 3Dplastikonu. Zaprojektowana przez pracownię Zbigniewa Maćkowa instalacja stanie w samym centrum Lwowa. Obiekt posłuży jako projektor filmu „Zapach Lwowa” autorstwa Grzegorza Korczaka. Materiałem, na którym zostanie oparty film, staną się odpowiedzi internautów na pytanie „czym pachnie Lwów?”, publikowane przy użyciu platformy internetowej pod adresem www.citysmell.eu. ○

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT



WWW.FESTIVALOPINIE.PL

OPINIE w Żorach

OPINIE to prawdziwa gratka dla ciekawych świata. Festiwal ma na celu integrację poprzez edukację międzykulturową i zabawę. Na zainteresowanych czeka szeroka oferta warsztatów podróżniczych, archeologicznych i artystycznych dla dzieci, młodzieży i dorosłych oraz prezentacji multimedialnych opowiadających o dalekich kulturach. Atrakcją Festiwalu będzie również Dzień Australijski, pełen warsztatów oraz prezentacji multimedialnych i muzycznych. Festiwalowi

towarzyszyć będą Jarmarki Kontynentów, na których będzie można skorzystać z oferty warsztatowej oraz pooglądać i kupić biżuterię etniczną, przewodniki, mapy oraz książki o tematyce podróżniczej i naukowej, sprzęt turystyczny, a także rękodzieło ludowe.

Imprezie towarzyszyć też będą: konkurs wiedzy o Australii dla gimnazjalistów, pokaz filmu o Australii i warsztaty dotyczące kaw i herbat świata. Festiwal odbędzie się 9-13 października. ○

WIELKI TARG WIELBŁĄDÓW

Pushkar leży w północno-zachodnich Indiach. Znane jest turystom i pielgrzymom jako święte miasto, przepelnione mistycyzmem i spokojem. Jednak co roku w październiku lub listopadzie ład i porządek zostaje częściowo zaburzony przez targ wielbłądów. Do miasta zjeżdżają się setki tysięcy ludzi, gromadząc dziesiątki tysięcy zwierząt, głównie wielbłądów. Transakcje i negocjacje urozmaicają atrakcje sportowe. Do najbardziej popularnych dyscyplin należą wyścigi wielbłądów, balansowanie na ich garbach i wiązanie turbano na czas. W tym roku jarmark przypada na 20-28 listopada. ○

NAUKOWO O PODRÓŻACH



Patrujemy konferencję naukową „Społeczne, filozoficzne i pedagogiczne aspekty podróżowania i turystyki. Człowiek w globalizującym się społeczeństwie”, która 18 października odbędzie się w Warszawie, w Wyższej Szkole Turystyki i Języków Obcych.

Turystyka jest rzadko podejmowaną dziedziną w analizach naukowych, mimo że kontakt kulturowy związany z podróżowaniem stał się nieodłącznym elementem procesów zachodzących we współczesnym świecie. Turystyka i podróżowanie stanowią podłoże dyfuzji kultury, zmian w obrębie świadomości społecznej,

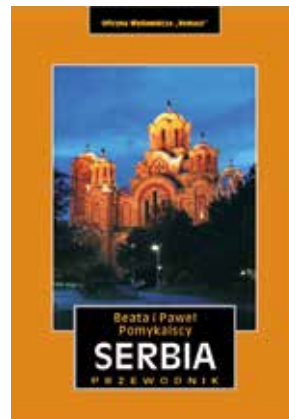
zmian w dziedzinie polityki i gospodarki, a jednocześnie przyczyniają się do konstituowania się globalnego społeczeństwa. Organizatorzy konferencji chcą otworzyć pole badań i refleksji nad znaczeniem podróżowania w globalizującym się społeczeństwie. Gośćmi specjalnymi będą m.in. zastępca Ambasadora Japonii Hiroshi Matsumoto oraz Wojciech Cejrowski, podróżnik, publicysta i socjolog, który wygłosi wykład o znaczeniu języków obcych w podróży i w pracy antropologa.

Konferencji patronuje również Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Izba Turystyki RP. ○

ODKRYJ SERBIĘ

PATRONAT **POZNAJ ŚWIAT**

Cudowna secesja Suboticy, awangardowe budowle Belgradu i osiemsetletnie monasterzy Raszki. Kościoły i cerkwie, meczety i synagogi. Średniowieczne zamki i nowożytnie twierdze. Płaska jak stół Wojwodina, łagodne wzgórza Szumadii i wyniosłe szczyty Kopaonika. To wszystko Serbia - kraj dla fanów wielokulturowości i różnorodności religijnej, dla miłośników dobrej architektury (starej i nowej), przyrody i wypoczynku na łonie natury. Dla amatorów wypraw w trudno dostępne góry, dla smakoszy dobrej kuchni i wina. Poznać go pozwoli pierwszy współczesny polski przewodnik traktujący wyłącznie o Serbii, autorstwa Beaty i Pawła Pomykałskich. ○



góry, dla smakoszy dobrej kuchni i wina. Poznać go pozwoli pierwszy współczesny polski przewodnik traktujący wyłącznie o Serbii, autorstwa Beaty i Pawła Pomykałskich. ○



FESTIWAL LOY KRATONG

Święto to obchodzone jest w całej Tajlandii, jednak najpiękniej w Chiang Mai, na północy kraju, gdzie przybiera formę karnawału. Jego rozpoczęcie przypada na listopad, w dzień pełni księżyca. Podczas tego festiwalu na rzekach puszczane są małe tratwy ozdobione świeczkami, wiencami kwiatowymi oraz kadzidełkami. Loy Kratong oznacza właśnie „spławianie tratwek”. W Chiang Mai rzekę rozświetlają miliony świec, a przez następne trzy dni niebo świeci tysiącem lampionów, zaś ulice zyskują całą gamę barw dzięki odbywającym się paradom. Towarzyszą temu wybuchy rakiet i kapiszonów, głośniejsze nawet niż w noc sylwestrową. ○

MITYCZNY KARPACZ



Każdy amator pieszych wędrówek w Karkonoszach wie o istnieniu świątyni Wang, ale nie każdy zdaje sobie sprawę, że wywodzi się ona z Norwegii. Obiekt sakralny został zbudowany w okolicach jeziora Vang na przełomie XII i XIII w. Wiele lat później mieszkańcy sprzedali budowlę pruskiemu księciu Fryderykowi Wilhelmowi IV, który przeniósł ją w Karkonosze. Przy wejściu dostrzec można lwie posągi, na narożnych portalach widnieją smoki przedstawiające walkę dobra ze złem, a na półkolumniakach twarze wikingów z wysuniętymi rozdwojonymi językami symbolizującymi międzypokoleniowy przekaz mądrości. ○

POZNAJ SIĘ NA RODAKU

Jak może wyglądać spotkanie Polaka z Warszawy z krajanem żyjącym w Argentynie, RPA bądź Chinach?

Poza krajem żyje blisko 20 milionów osób o polskim pochodzeniu, nietrudno więc w czasie zagranicznych wojaży spotkać rodaka. Mieszkają na wszystkich kontynentach, prawdopodobnie w każdym kraju na ziemi. Nie tylko w Stanach Zjednoczonych, gdzie Polonia jest największa (sięga 10 milionów), czy Niemczech, ale i w Brazylii, RPA, Australii. Wśród nich spotkamy poważanych profesorów, ekscentrycznych artystów, przebojowych biznesmenów, szalonych pasjonatów najróżniejszych hobby, a czasami też cichych, niepozornych ludzi, którzy kilkoma słowami potrafią rozszerzyć horyzonty swojego rozmówcy.

Czy podróż może nas otworzyć nie tylko na egzotykę, ale i polskość? Do przeżycia takiej przygody zachęca Muzeum Emigracji w Gdyni w konkursie im. Pawła Edmunda Strzeleckiego. Pod hasłem „Poznaj się na rodaku!” zbierane są reportaże fotograficzne bądź filmowe o wyjątkowych osobowościach napotkanych w drodze.

Muzeum Emigracji w Gdyni zachęca zarówno doświadczonych globtroterów, jak i zwykłych turystów, by otworzyli się w czasie swoich podróży na rodaków za granicą. Jeśli spotkacie człowieka, który Was zafascynował, kto swoją postawą inspiruje innych, przełamuje schematy, burzy stereotypy, a może zmienił Wasze życie – podzielcie się tym! Stwórzcie krótki reportaż w postaci kilku fotografii bądź filmu. Nie zapomnijcie opatrzyć go tekstem opisującym bohatera opowieści. Jury będzie szukało oryginalnych, ważnych, poruszających historii. Do fotografowania możecie użyć nawet telefonu komórkowego – najważniejszy jest człowiek, o którym opowiadacie. Spróbujcie przekazać jego historię i pokazać w jego naturalnym otoczeniu. Niektórych spotkań nie można zaplanować, jeśli jednak szycie się do wyjazdu, warto zająć do regulaminu konkursu.

Prace można nadsyłać do 10 stycznia 2014 roku a oceniać je będą Marek Kamiński – podróżnik, polarnik, zdobywca Północnego i Południowego Bieguna, Chris Niedenthal – fotograf, jeden z najbardziej cenionych fotoreporterów europejskich,

NAGRODA IM. PAWŁA EDMUNDA STRZELECKIEGO
POZNAJ SIĘ NA RODAKU!

PODRÓŻUJESZ? WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE MUZEUM EMIGRACJI
W GDYNI! POZA POLSKĄ ŻYJE BLISKO
20 MILIONÓW NASZYCH RODAKÓW.
POZNAJMY ICH!
SPOTKAŁEŚ W DRODZE POLAKA,
KTÓREGO HISTORIA CIĘ PORUSZYŁA?
OPowiedz ją zdjęciem lub
KRÓTKIM FILMEM! PRZEŻYJ
PRZYGODĘ I ZGARNIJ NAGRODĘ!

MUZEUM EMIGRACJI
GDYŃA ul. POLSKA 1

TERMIN ZGŁOSZEŃ: 10 STYCZNIA 2014
NAGRODA: 5 000 ZŁ
WIĘCEJ: WWW.MUZEUMEMIGRACJI.PL

Poznaj Świat

NAGRODA IM. STRZELECKIEGO

PATRONAT **POZNAJ ŚWIAT**

WWW.MUZEUMEMIGRACJI.PL

Tomek Michniewicz – dziennikarz, backpacker, fotograf, autor bestsellerowej książki „Samsara. Na drogach, których nie ma” oraz Dyrektor Muzeum Emigracji w Gdyni – Karolina Grabowicz-Matyjas. Autor najciekawszej relacji otrzyma nagrodę w wysokości 5000 zł. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi podczas Ogólnopolskiego Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów „Kolosy” w Gdyni.

Patronem Nagrody jest Paweł Edmund Strzelecki – pierwszy Polak, który odbył indywidualną podróż naukową dookoła świata, wybitny geograf, którego wyprawy do dziś imponują zasięgiem i rozmachem. Najważniejszych odkryć dokonał w Australii – opisał nowe krainy oraz pasma górskie, zidentyfikował złoża węgla, ropy nafto-

wej i złota. Dzięki niemu najwyższy szczyt kontynentu dziś nosi nazwę Góra Kościuszki. Historia zna wiele innych przykładów polskich emigrantów, którzy dokonywali przełomowych odkryć, ustanawiali rekordy, inicjowali rozwój gospodarstwa, kształtowali życie polityczne w różnych rejonach świata. Patronem medialnym Nagrody im. Pawła Edmunda Strzeleckiego jest miesięcznik *Poznaj Świat*.

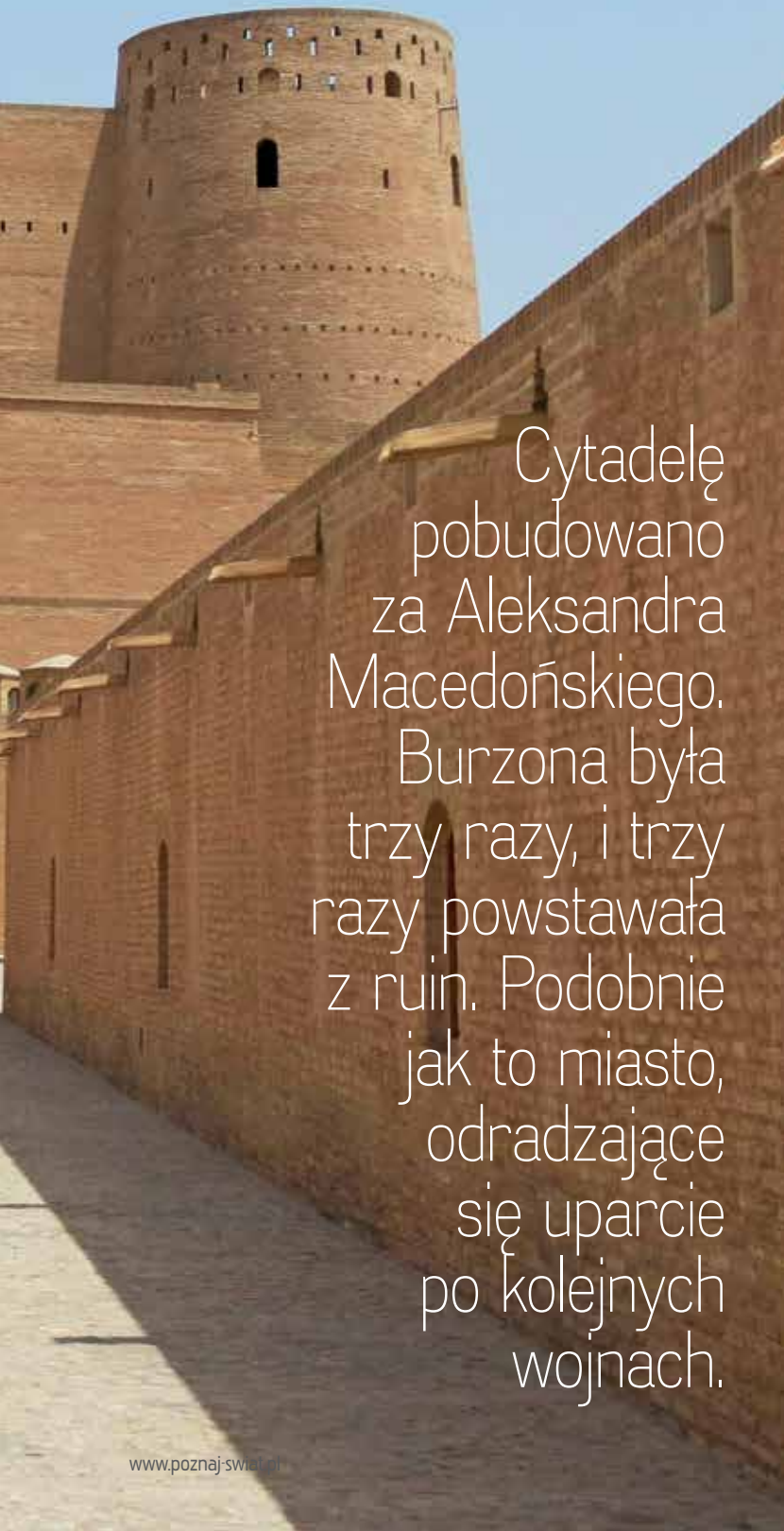
Nagroda ma w tym roku swoją pierwszą odświeżoną, ale została już wpisana w program kolejnych edycji Ogólnopolskich Spotkań Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów „Kolosy”. Stwarza to szansę na to, że za rok lub dwa inicjatywa otworzy nową perspektywę patrzenia na Polskę i Polaków. ○



Witold Repetowicz

HERAT

nie wierzy nikomu



Cytadelę
pobudowano
za Aleksandra
Macedońskiego.
Burzona była
trzy razy, i trzy
razy powstawała
z ruin. Podobnie
jak to miasto,
odradzające
się uparcie
po kolejnych
wojnach.



Pędziliśmy nowiutką drogą do Heratu, którą wybudowali kilka lat temu Irańczycy, mający na pieńku zarówno z talibami, jak i Amerykanami. Ruch między Iranem a Heratem jest duży. Wielu Afgańczyków jeździ tam pracować, a poza tym w Iranie jest taniej. Do innych części kraju trudno też bezpiecznie dotrzeć łądem, trzeba więc samolotem, chyba że... samochodem do Iranu.

Siedziałem wciśnięty między kierowcę a drugiego pasażera i patrzyłem na równinny krajobraz afgańskiej części Chorasanu. Z daleka majaczyły skaliste pasma górskie, a na drodze mijaliśmy transportery oraz wojskowe checkpointy. Gdy wjeżdżaliśmy do miasta, pojawiło się pięć gigantycznych minaretów, krzywo wyrastających z ziemi. To była Musalla.

RADOSNY KLEJNOT I JEJ MINARETY

Herat istniał od czasów starożytnych i wchodził w skład Imperium Achemenidzkiego jako Haraiva. Później należał do innych władców. W VII w. uległ najazdowi arabskiemu i znów przechodził z rąk do rąk, aż do pierwszej, lecz nie ostatniej tragedii miasta – najazdu Czyngis Chana. Został wtedy zrównany z ziemią. Dziś ze starożytnego Heratu nie zostało nic poza wykopaliskami.

Kilkadziesiąt lat później miasto odrodziło się pod rządami Timura i jego następców. W drugiej połowie XIV w. Timur podbił Azję Środkową i, sprowadziwszy z Persji architektów i artystów, wznosił wspaniałe budowle na całym obszarze swojego imperium. Herat nie



WIELKI MECZET PIĄTKOWY

Tę i wiele innych architektonicznych pereł pozostawili po sobie Timurydzi, piętnastowieczni władcy imperium w Azji Środkowej.

został pominięty. Dzisiaj jego najwspanialsze zabytki pochodzą właśnie z tego okresu. Jednym z nich jest Musalla. Minaretów ma pięć, ale tylko jeden po starym kompleksie. Cztery pozostałe otaczały medresę sultana Bayqara, która już dawno nie istnieje. Tam, gdzie stała, biegnie teraz szlak do irańskiej granicy. Minarety, po dwa z każdej strony drogi, pochylają się na przywitanie wjeżdżających turystów, których oczywiście nie ma.

Nieco dalej znajduje się mauzoleum Goharszad, czyli Radosnego Klejnotu. To imię żony szacha Rukha, młodszego syna Timura. Dzięki niej Herat odżył, gdy namówiła męża do przeniesienia tutaj stolicy z Samarkandy, a potem patronowała rozbudowie miasta. Po śmierci męża sama rządziła w imieniu wnuka Ulugh Bega. Jej grobowiec zwieńczony jest kopułą przypominającą połówkę melona. Zachowały się resztki błękitnych płytek ceramicznych.

Obok jest jeszcze jeden minaret, najbardziej przechylony. To pozostałość po medresie wybudowanej przez Goharszad, kiedyś otoczona przez dwadzieścia takich samych gigantycznych minaretów. W XIX w. wysadzili je w powietrze Brytyjczycy, oczyszczając sobie pole ostrzału, kiedy oczekiwali inwazji Rosjan. Ci nadeszli jednak dopiero 100 lat później i dopełnili dzieła zniszczenia.

ŚMIAŁOŚĆ DNIA, NIEPEWNOŚĆ ZMROKU

Ze starego Heratu niewiele pozostało. Tamtejsze domy przypominają okryte mulistym tynkiem rudery, ale gdy baczniej im się przyjrzeć, można dostrzec wiele pięknych szczegółów architektonicznych: drzwi, okna, kołatki. Zniszczenia to głównie efekt wojny mudzahe-dinów ze Związkiem Sowieckim. Nie ocalały między innymi cztery bramy miejskie. O ich

istnieniu świadczą wyłącznie nazwy ulic zbiegających się przy bazarze. Ta część miasta tętni życiem i przepelniona jest błękitem burek zasłaniających kobiety. To one tutaj robią zakupy. Za to mężczyźni, w długich białych koszulach narzuconych na białe szarawary i z turbanami na głowach, dominują wśród sprzedawców.

Ulice pełne są handlujących, ciągnących wózki, a także kolorowych motocyklowych taksówek. Ruch tu ogromny, przynajmniej w ciągu dnia, bo miasto budzi się o świcie, ale zasypia już o zmroku. Gdy wieczorem próbowałem wyjść na spacer, uzbrojeni strażnicy ostrzegli mnie, bym nie szedł za daleko, bo w nocy jest niebezpiecznie. Ulice szybko się wtedy wyludniają, żołnierze przeszukują niektórych przechodniów i nawet okolice wielkiego Meczetu Piątkowego pogrążone są w ciemności.

Meczet wybudowali Timurydzi w XV w., ale i tej budowli czas nie oszczędził, więc w latach 1940. przeszedł gruntowną renowację. Stosunkowo nowa jest większość płytek zdobiących fasady, ejwany i minarety. Każda jest inna, widać na nich inskrypcje kaligraficzne, motywy roślinne i charakterystyczne dla per-

skiej kultury cyprysy – ideał piękna. Długi ogród prowadzi do ejwanu głównej bramy, z którego boków wyrastają dwa minarety. Tędy wchodzi się na potężny dziedziniec otoczony przez cztery ejwany. Nad każdym góruje para minaretów. Panuje tu cisza. W osłoniętych arkadami bocznych korytarzach spotkać można zarówno modlących się wiernych, jak i uczących się studentów, korzystających z chłodu i spokoju.

HERBATA Z DOBRYM CZŁOWIEKIEM

– *Dokąd! Tu nie wolno! Wychodź stąd!* – krzyczał za mną afgański żołnierz z karabinem gotowym do strzału. Obszedłem cytadelę dookoła, aby dostać się do wnętrza. – *A gdzie jest wejście?* – zapytałem. – *Nie ma, zezwolenie trzeba mieć* – rzucił żołnierz. Okazało się jednak, że to właśnie było wejście, a obok było też muzeum. – *Dobrze, możesz wchodzić, ale tylko do muzeum* – zgodził się po interwencji jednego z miejscowych, po czym kazał mi włączyć aparat, aby sprawdzić, czy to nie atrapa skrywają-

MINARETY HERATU

Pięć charakterystycznych przekrzywionych budowli góruje nad miastem, witając przybyszów.





ca bombę. Tak właśnie został zabity Ahmed Szah Massud...

Cytadela powstała po podboju Heratu przez Aleksandra Macedońskiego i została zburzona wraz z całym miastem na początku XIII w. przez Mongołów, następnie odbudowana i znów zniszczona przez najazd Timura. Kilkadziesiąt lat później podniósł ją z ruin wspomniany Szach Rukh. Wojny XIX i XX wieku ponownie doprowadziły ją do ruiny. Po wygnaniu talibów z miasta renowację sfinansował Aga Chan – mieszkający w Szwajcarii przywódca pamiirskich szyitów – ismailitów.

Gdy wychodziłem z muzeum, kiwnął na mnie starszy mężczyzna, zapraszając na herbatę. To wyraz gościnności, gest wiele znaczący. Okazał się on tutejszym dozorcą. Zaczęliśmy rozmawiać o Heracie i sytuacji w Afganistanie.

W końcu zaproponował, że oprowadzi mnie po cytadeli. Dopiero stąd widać, jak potężny jest Meczet Piątkowy. Można też zwiedzić tu łaźnię (*hamam*) szacha Rukha, na której ścianach zachowały się jeszcze fragmenty fresków.

Gdy zeszedliśmy na dół, wyciągnąłem banknot. – *A to co?* – zapytał. – *Bakszysz?* – patrzył na mnie z uśmiechem i wahał się, wziąć czy też nie. Nie oprowadzał mnie przecież dla pieniędzy, lecz dlatego, że był dobrym człowiekiem.

MUZEUUM ŚWIĘTEJ WOJNY

W Heracie znajdują się jeszcze dwa miejsca godne odwiedzenia. Pierwszym z nich jest Gazar Gah, przepiękne mauzoleum chodźy Abdullaha Ansarięgo, perskiego mistyka i poety, żyjącego w XI wieku. Jest to święte miejsce, do którego tłumnie pielgrzymują zwłaszcza kobiety. Drugie to Manzare Dżohada, czyli Panorama Świętej Wojny. Jest to profesjonalnie urządzone muzeum wojny mudżahedinów z sowieckimi okupantami.

Dostanie się doń wymagało pewnej determinacji, gdyż pilnujący go żołnierz przekonywał, że muzeum jest zamknięte. Naprawdę czynne jest dwie godziny dziennie i nie wydaje nawet biletów, gdyż większość odwiedzających to oficjalne delegacje.

W muzeum znajdują się ekspozycje broni używanej w czasie wojny, a przed gmachem stoi sprzęt bojowy, między innymi helikopter. Jest też wystawa strojów różnych grup etnicznych Afganistanu, pamiątki po szachidach poległych w walce, a także inne ekspozycje historyczne. Jedną z największych atrakcji to panorama prezentująca historię wojny, od pierwszych egzekucji dokonywanych przez komunistyczny reżim, po ostateczne nad nim zwycięstwo. W ostatniej sali wisi duże zdjęcie z czasów wojny. Widać na nim młodego chłopaka w towarzystwie jednego z dowódców. – *To Radostaw Sikorski, wielki nasz przyjaciel* – mówi przewodnik.

WRÓCĄ – NIE WRÓCĄ?

– *Muszę myśleć o rodzinie, a nie o tym, czy wrócą talibowie* – stwierdził Hamid, pokazując mi surowe jeszcze ściany budowanego centrum handlowego. – *Mieszkałem trochę w Niemczech i w Anglii. Potem wróciłem, ale talibowie mnie uwięzili, więc znów uciekłem* – opowiadał, dodając, że za granicą dorobił się i teraz to wykorzystuje. – *Mam też hotel w Kabulu, na Chicken Street. Przyjedź, tam też jest bezpiecznie, w końcu to stolica. Siedzieliśmy i piliśmy herbatę za herbatą. – W takim żarze najlepiej gasić pragnienie gorącym, a nie zimnym* – słusznie zauważył Hamid.

O życiu tu i teraz myśli też zapewne starszy nauczyciel muzyki i jego dwaj uczniowie.

POMNIK CZY ZJARAT?
Na głównej ulicy Heratu pełno abstrakcyjnych pomników oraz okrytych zielonym sukniem grobowców (czyli zjaratów), umieszczanych przeważnie na rondach.

Jeden z nich podbiegł do mnie na ulicy i zaciągnął do swojego mistrza, a potem chłopcy zagrali i zaśpiewali. Ludzie przystawali. Takie występy też były zakazane, ale oni urodzili się już po wyrzuceniu talibów.

– *Obcy nigdy nie wyjdą z Afganistanu. Amerykanie, Brytyjczycy, wszyscy mają tu swoje interesy* – mówi mi właściciel restauracji, w której zatrzymałem się na obiad. – *Zobacz, u nas narkotyki kosztują grosze, a w Europie czy Ameryce można na nich zbić majątek. Ale największym wrogiem Afganistanu jest Pakistan, to oni nastali na nas talibów* – narzeka, oprowadzając mnie po pustych pokojach hotelu nad restauracją. – *U was pokazują tylko wojnę w Afganistanie, a przecież w Heracie jest bezpiecznie, prawda?*

Wielu Afgańczyków sceptycznie odnosi się do intencji USA czy Wielkiej Brytanii, ale jeszcze mniej zaufania mają oni do swych sąsiadów – Iranu i Pakistanu – oraz do własnego rządu. Na turystę reagują natomiast entuzjastycznie, zapraszają na herbatę, chętnie rozmawiają i proszą, aby ich fotografować. Ale 30 lat wojny nauczyło ich wiary tylko w Allaha. I może jeszcze w Ahmeda Szaha Massuda, którego zdjęcia wiszą w sklepach

i warsztatach. Legendarny Lew z Pandźsziru, zamordowany w przeddzień zamachu na WTC, był jedynym, który oparł się talibom, a wcześniej walczył z sowiecką okupacją i komunistycznym reżimem Nadżibullaha.

Choć przy drogach wiszą billboardy wzywające do pojednania narodowego i wychwalające edukację, to na ulicach widać biedę, żebraków, zaś młodzież opowiada o braku perspektyw. – *Żeby znaleźć pracę, trzeba albo zapłacić, albo mieć znajomości* – narzeka Ahmed, dwudziestoparoletni student, biegle mówiący po angielsku i sprzedający napoje w parku Takhte Safar.

Park to oaza ciszy i spokoju. Na wzgórzu, z którego rozpościera się panorama miasta, wznosi się budynek, gdzie odbywają się śluby. Stąd widać lunapark, znajdujący się na terenie Takhte Safar, oraz osłonięty drzewami odkryty basen. Te atrakcje byłyby zakazane, gdyby wrócili talibowie. – *Ale jak będą chcieli, to wrócą, bo nasza armia jest do niczego, jedyne wyjście to stąd uciekać* – uważa Ahmed.

Większość mieszkańców tego doświadczonego przez historię miasta chyba nie jest aż tak pesymistyczna, lecz obecnym porządkiem raczej nie ufa. ○



NIEZAKAZANE PIOSENKI

Do niedawna, za rządów talibów, wszelkie rozrywki w Afganistanie były surowo zakazane. Takie wspólne muzykowanie było wtedy karalne.

Pogodzenie studiów dziennych z zarobieniem pieniędzy na wyjazd, przygotowaniem dwudziestoletniego motocykla (yamaha XTZ 750 o ksywie „Teresa”) oraz samej trasy wymagało trochę pracy i wyrzeczeń. Ukraina, Rosja, Gruzja, Armenia, Górski Karabach, Turcja, Bułgaria, Rumunia, Węgry, Słowacja, Czechy – 39 dni i 11.727 kilometrów. Ale było warto!



z Teresą przez świat

Cezary Wasyluk





FOT. CZARY WASYLUK

GORYCZ PORĄŻKI

„Teresa” z żalem patrzy na Elbrus, który nie życzył sobie naszej wizyty.

SZARIK POKONANY PRZEZ ELBRUS

Odbywa się tu ognisko rodzinne. Większa część ludności zamieszkująca te rejony, również moi gospodarze, jest pochodzenia bałkarskiego (to górski naród o rodowodzie tureckim). Oprócz różnorodnego i smacznego jedzenia na stole jest dużo alkoholu. Narzucają takie tempo, że prawie wymiękam. Na szczęście udaje mi się uniknąć kompromitacji. Nie rozumiem tylko, dlaczego zamiast Czarek mówią na mnie Szarik...

Góra położona jest blisko granicy z Gruzją, dlatego panuje tu wzmożona aktywność militarna. Mam dwie możliwości: wjechać kolejką linową (cel zamachu w 2011 roku) na 3750 m n.p.m., skąd widać szczyt, lub drogą do obserwatorium położonego na 3000 m n.p.m. Przypadkowo napotkany Polak twierdzi, że powinienem dać radę, choć droga ma podłoże kamieniste. Przy pierwszej wywrotce urywam kufer, którego mocowania prostuję za pomocą kamieni. Na stromym podjeździe zaczyna brakować mocy, silnik gaśnie i znów lecę na ziemię. Utknąłem na 2560 m n.p.m. Jedy-



Do Rosji docieram promem z Kerczu na Ukrainie, a do pierwszego poważnego punktu wyprawy, którym jest Elbrus, dojeżdżam po tygodniu. Kilkadziesiąt kilometrów wcześniej szukam miejsca noclegowego nad rzeką. Moja obecność wyraźnie zainteresowała pana, który zaprasza mnie w gości. Jest stróżem parkingu dla ciężkiego sprzętu.



na opcja to zawrócić. Próbuję zjeżdżać tyłem, tradycyjnie popuszczając sprzęgło na wyłączonym silniku. Idzie mi to wyjątkowo marnie. W końcu pojawia się mój zbawiciel, prowadzący trzy konie. Na imię ma Maret, a może Mazet. Okazuje się, że ten odcinek drogi jest tak stromy, że nawet konie trzeba sprowadzać. Pomaga mi odwrócić „Terese”.

W międzyczasie nadchodzą dwie sympatyczne Rosjanki. Mieszkają w ośrodku turystycznym. Przydzielają mi za darmo pokój i karmią. Ich gościnność płynie prosto z serca. Ale plan, aby zobaczyć Elbrus, kończy się fiaskiem.

Z MNICHEM O MOTORYZACJI

Od spotkanych na Ukrainie Polaków dowiedziałem się, że do Gruzji wpuszczają tylko tych, którzy mają rosyjskie wizy tranzytowe, ja natomiast mam turystyczną. Na szczęście granicę przekraczam bez żadnych problemów, a celnik, spojrzawszy na moją polską tablicę rejestracyjną, macha tylko ręką.

Otoczają mnie widoki zapierające dech w piersiach. Po kilkudziesięciu kilometrach do-

jeżdżam do miejscowości Stepancminda, nad którą, na wysokości 2170 m n.p.m., położony jest XIV-wieczny klasztor Gergeti Sameba, nazywany wizytówką Gruzji. To nad nim góruje Kazbek. Dojeżdżam do posiadającej burzliwą historię twierdzy Ananuri. Następnym celem jest monastyr Dźwari. Klasztor leży na górze ze wspaniałą panoramą na Mcchetę (starożytne miasto wpisane na listę UNESCO).

Noc spędzam w gospodarstwie, gdzie częstują mnie 60-procentowym koniakiem. Wznosimy toast za świętej pamięci prezydenta Kaczyńskiego oraz za przyjaźń polsko-gruzińską. Poranek wita żarem. Wylewając ostatnie poty, dojeżdżam do istniej oazy: duży sztuczny zbiornik, boiska, palmy, restauracja i mnóstwo ludzi. Kąpiel przywraca siły na dalszą podróż.

Tego dnia mam do obejrzenia dwie absolutne perełki: twierdzę Geremi oraz Alawerdi. Zatrzymuję się i pytam o dojazd do tego ostatniego zabytku. Rozmowa jest o tyle ciekawa, że mój rozmówca zna tylko gruziński. Proponuje mi nocleg u siebie w domu, do którego trafiam po powrocie z Alawerdi. Od razu zostaję посаdzony przy stole, na którym lądują: chleb, pomidory, czosnek, słonina i legendarne pierożki

STOLICA DAWNEJ IBERII

Panorama z klasztoru Dźwari na starożytne miasto Mccheta, które od III wieku p.n.e. było stolicą gruzińskiego królestwa Iberii. W V wieku n.e. król Wachtang Gorgasali przeniósł stolicę do Tbilisi.



MONASTYR ALAWERDI

Klasztor zbudowany w XI wieku, w okresie zjednoczenia i powstania silnego feudalnego państwa, był najbardziej znaczącą świątynią w całej Kachetii (wschodni rejon Gruzji).

chinkali. Nie może zabraknąć domowej roboty wina, a każde sięgnięcie po kielich wiąże się oczywiście z długim i poważnym toastem.

Początek trasy jest piękny – po prawej stronie przepaść z wąwozem i rzeką oraz wodospadami, po lewej skalna ściana. Podłoże szybko przekształca się w skalne i miejscami wypłukane przez wodę. Niewielkie wodospady tworzą potoki, przez które muszę przejeżdżać. Wdrapuję się na 2867 m n.p.m., skąd czeka mnie równie wymagający zjazd. W końcu ukazuje się niesamowity widok, czyli Omalo – to kilka chat, których mieszkańcy żyją zupełnie oderwani od naszego świata.

Na tym etapie wędrowki po Gruzji pozostał mi jeszcze Dawid Garedża – kompleks klasztorów na stokach Garedża (mnich Dawid osiedlił się tu w naturalnej jaskini i wybudował pierwszy klasztor). Tym razem jadę szutrem po półpustyni. Dojeżdżam, i oto miłe spotkanie: – *Jaki jest twój motocykl?* – pyta mnich. – *Yamaha.* – *Jaka?* – *Enduro.* – *Jaki model?* – *Yamaha XTZ 750 Super Ténéré.* – *Aaa, bo wczoraj byli tutaj motocykliści, tylko że przyjechali na Hondach Africa Twin...*

CZAREK, CZAREK, OKRADLI CIĘ!

Odprawa graniczna przed Armenią przebiega bardzo szybko. Muszę tylko wykupić wizę w cenie 3000 dramów (około 23 zł) oraz ubezpieczenie na motocykl (35 dolarów).

Na noc zatrzymuję się na plaży jeziora Sewan, położonego na 2000 m n.p.m. Siedzę, szukając czegoś w namiocie, i nagle czuję, że ktoś stoi u wejścia. Pytam, kto, i słyszę: – *Najemnicy.* Już myślę, że będzie się działo..., ale znów zostaję zaciągnięty do towarzystwa, i jest to naprawdę wspaniała ekipa! Kilku sympatycznych facetów, którzy gotowi są rzucić się za sobą w ogień. Służą w pobliskich koszarach i wyjaśniają, że w Armenii jest więcej najemników niż żołnierzy. Zarabiają 300 dolarów miesięcznie. Wręczają mi numer telefonu i mówią: – *Gdyby ktoś ci naubliżał, robił jakiś problem, zadzwoń...*

Tej nocy jeszcze budzą mnie dźwięki aut, gwar ludzi, śmiechy. Nagle ktoś woła mnie po imieniu: „Czarek, Czarek”. Ponieważ jestem zmęczony i swoje wypilem, ignoruję nawoływania i śpię dalej.



FOT. CZESZY WASYLUK

Dzień rozpoczynam od konsumpcji подарowanego mi wczoraj melona. Przechodzę do motocykla po mapę i dostrzegam otwarty boczny kufer... Zostałem okradziony! Straciłem m.in. narzędzia oraz części zamienne. Łaskawca zostawił natomiast konserwę i ładowarkę. Mam do przejechania jeszcze 7 tysięcy kilometrów – bez łyżek do opon, łątek, części zamiennych i paru narzędzi.

Nim obiorę kierunek na Górski Karabach, zwiedzam jeszcze Tatew. Klasztor zbudowano na skalnym urwisku. Tatew to najpiękniejsza panorama tej wyprawy!

W GÓRSKIM CZARNYM OGRODZIE

Górski Karabach, po azersku „górski czarny ogród”, to samozwańcze państwo będące ormiańską enklawą. Jest przedmiotem sporu pomiędzy Armenią a Azerbejdżanem. Im bardziej się tam zbliżam, tym góry rzeczywiście robią się ciemniejsze. Przekroczenie granicy polega na podejściu do okienka i odebraniu adresu w stolicy Stepanakercie, gdzie mam wyrobić sobie wizę. Nie ma ani szlabanów, ani prze-

praw celnych – jedynie progi spowalniające.

Mam do pokonania tylko 70 kilometrów, a droga jest bardzo dobrej jakości, tylko liczne „winkle” i piękne pejzaże ograniczają tempo. Stolica to nieduże miasto, liczące 53 tysiące mieszkańców. Najbardziej rzucają się w oczy liczne flagi Karabachu. Mam problem ze zna-



FOT. CZESZY WASYLUK

lezeniem miejsca na nocleg – teren jest na tyle górzysty, że każdą piędź ziemi zajmują posesje. Zajeżdżam na jedną z nich. Rozpalony grill i sporo ludzi – impreza pracownicza, na którą oczywiście zostaję zaproszony. Wieczorem, gdy gospodarze widzą, że zaczynam rozbijać

CERKIEW ŚWIĘTEGO KRZYŻA

W ogromnych komnatach ormiańskiej świątyni Nyszan zachowały się freski z XII wieku.

NIE MA STRACHU W KARABACHU

Szukając noclegu w Górskim Karabachu, trafiłem przypadkiem na imprezę pracowniczą, na której zostałem serdecznie ugoszczony.



FOT. CEZARY WASYLIK

TAM, GDZIE SCHODZĄ SIĘ KURY

Twierdza Chertwisi to jedna z najstarszych fortyfikacji w regionie Samcche-Dżawachetia. Budowę rozpoczęto w II wieku p.n.e. Twierdza wznosi się na skalistym wzgórzu, przy zbiegu rzek Kura Dżawachecka i Kura Artaauska.

namiot, każą jechać za sobą. Holują mnie do motelu, który opłacają. Uczynność ludzi z tej części świata nie przestaje mnie zadziwiać.

ZDERZENIE Z ARMENIĄ

Trzeci tydzień wyprawy. W planach mam dotarcie do Erywanii. Droga wiedzie blisko Iranu, a wschodnie powiey aż parzą twarz. To jeden z trudniejszych odcinków wyprawy. Z dużej odległości ukazuje się święta góra Ararat.

Obieram kierunek na Garni. Ta budowla jest niepodobna do zabytków, które miałem okazję oglądać. Przypomina budowle rzymskie. Jest to zarazem pierwsze miejsce, w którym muszę zapłacić za zwiedzanie. Armenia jest, niestety, strasznie zaśmiecona, tymczasem tutaj płacę, ale widzę: przycięty trawnik, piękne kwiaty, mijam też panią, która sprząta, a z głośników leci muzyka. Sporym minusem Armenii są też kierowcy. Nieraz auto z naprzeciwka zaczyna wyprzedzać i nagle wyskakuje na „czołówkę”. W Erywanii sytuacja wygląda jeszcze gorzej, bo dodatkowo trzeba uważać na... odkryte studzienki kanalizacyjne.

RODACY NA TRASIE

Opuszczam Armenię, w której spędziłem dziewięć dni, i wracam ponownie do Gruzji. Nadchodzi moment wymiany oleju, więc zatrzymuję się w pierwszej wiosce przy tabliczce z napisem MOOKA (punkt mycia aut), gdzie chłopaki pożyczają mi niezbędne narzędzia oraz kasetę na stary olej.

Pod wieczór dojeżdżam do Wardzi. To potężne skalne miasto, które posiada mnóstwo dobrze zachowanych korytarzy i komnat. W średniowieczu służyło jako schronienie podczas najazdów mongolskich. Mogło pomieścić od 20 do 60 tys. osób. Miało klasztor, salę tronową oraz ponad 6000 pomieszczeń na 13 kondygnacjach. Dostęp do klasztoru prowadził poprzez ukryte tunele w pobliżu rzeki Kura. Trzęsienie ziemi w 1283 roku zniszczyło dwie trzecie miasta. W 1551 roku pojawili się Persowie, łupiąc wszystko, co cenne.

Za Batumi spotykam Darka, Paulę i Rafała, którzy podróżują na „africach”. Okazuje się, że też jadą do Swanetii (obszar Kaukazu, słynący z mieszkalnych baszt, pięknych widoków i bujnej roślinności), więc proponuję im



FOT. CZESZY WASTYL

wspólną podróż. Tempo mają bardzo szybkie – 120 km/h bez względu na teren. Wieczorem rozbijamy namioty na polanie w okolicy Mestii, rozpalamy ognisko i opowiadamy swoje przygody.

Kontynuujemy wspólną jazdę do Uszguli – uważanej za najwyżej położoną osadę w Europie (2200 m n.p.m.). Dojazd do niej od strony Mestii jest przyjemny, ale po wyjeździe z Uszguli czeka nas 80 kilometrów offroadu, wysoko, z widokiem na lodowiec. Zaczyna padać i na drodze tworzy się strumień. Rafał zalicza głębę. Później znajdujemy plecak, a w nim rzeczy bez dokumentów. Stajemy w wiosce, by przeczekać deszcz oraz zjeść obiad. Przejżdża radiowóz, więc zostawiamy policjantowi plecak. Bardzo dziękuje – informuje, że zaginęło dwóch turystów.

Daleko nie udaje się zjechać. Słyszę za sobą klakson Rafała – okazuje się, że złapałem tylną gumę. Gdy kończę wymianę, podjeżdża samochód. To kolejni Polacy, Łukasz i Marta, a w ich towarzystwie Alireza – Irańczyk, którego przewożą autostopem na prośbę miejscowej policji. Spędzamy noc przy ognisku. Rano

TWIERDZA PANA...

...czyli po gruzińsku Upliscyche. Powstanie tego starożytnego skalnego miasta datuje się na V wiek p.n.e.

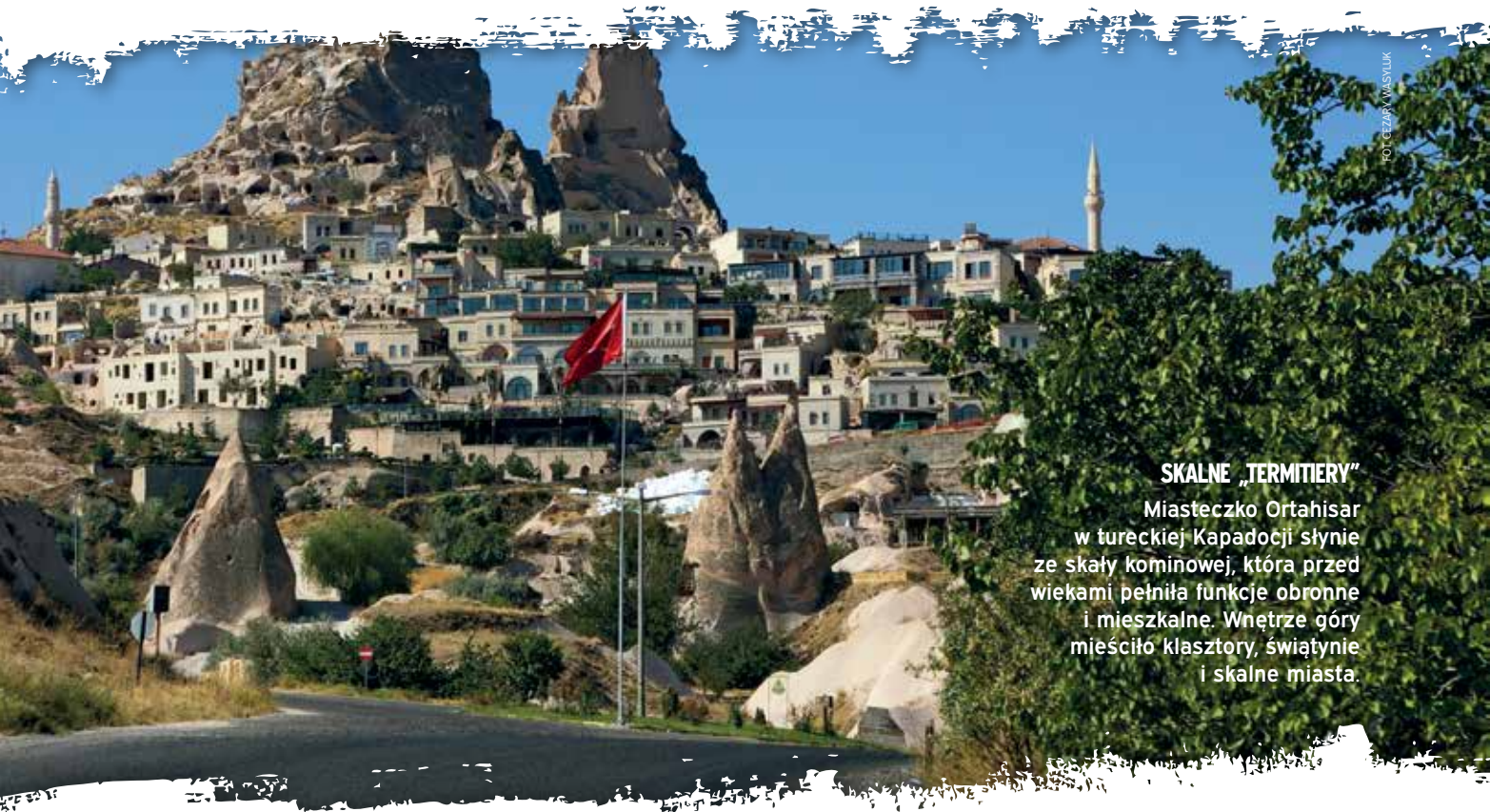


FOT. CZESZY WASTYL

SPOTKANI NA SZLAKU

Od lewej podróżnicy: Marta, Łukasz, ja, Rafał, Alireza, Darek i Paulina.

się rozdzielamy – motocykliści wracają do Polski, ja kontynuuję zwiedzanie z Martą i Łukaszem, zaś Alireza odłącza po paru kilometrach.



FOT. CEZAR WMASTLIK

SKALNE „TERMITIERY”

Miasteczko Ortahisar w tureckiej Kapadocji słynie ze skały kominowej, która przed wiekami pełniła funkcje obronne i mieszkalne. Wnętrze góry mieściło klasztory, świątynie i skalne miasta.

Zatrzymujemy się w przydrożnej restauracji i zamawiamy gruziński specjał chaczapuri – bardzo smaczny serowy placek. Następnego dnia zwiedzamy Upliscyche, najstarsze skalne miasto, którego początki datuje się na V wiek p.n.e. Rozstajemy się w Gori.

JAK NA TURECKIM KAZANIU

Przekroczenie tureckiej granicy wygląda nietypowo. Po dojechaniu do punktu granicznego należy samodzielnie załatwić wszystkie formalności, biegając od okienka do okienka. Wiza kosztuje 20 dolarów, a wszystko trwa około godziny.

Z Turkami trudno się dogadać, nie znają angielskiego ani rosyjskiego. Benzyna jest bardzo droga – 8,50 zł za litr. Jedzenie również nietanie. Żywię się najczęściej chlebem w przystępnej cenie (1,50 zł/kg), pomidorami i jajkami. Widać dużą ilość wojska – baz, konwojów. Nawet policja prezentuje wozy pancerne z karabinami na wieżyczkach.

Cały czas jadę dwupasmową krajową o dobrej nawierzchni, ale trafiają się fragmenty ze smoły i żwiru, który może spowodować utratę

kontroli nad pojazdem. Jest też mnóstwo znaków ograniczających prędkość oraz informujących o robotach drogowych, po których nie ma już śladu. Ruch niewielki.

Mija 32. dzień wyprawy i dojeżdżam do Kapadocji. Podróż wzdłuż rozlewiska Eufratu dostarcza niesamowitych widoków. Piasek i skały przybierają wiele kolorów, od czerwonego po zielony. Zatrzymuję się w Zelve i zwiedzam jedną z tras widokowych. Cały następny dzień spędzam na kempingu. Jest basen, kuchnia, prysznic z ciepłą wodą, pralki. Jeden człowiek, namiot i motocykl – 20 lir za dobę (40 zł).

Spotykam tu niemiecką parę, która wraca z wyprawy po przejechaniu 20 tys. km, holenderską parę, która jedzie do Indii, oraz Francuza, który odbył podróż dookoła świata. Wszyscy pozytywnie zakręceni.

TRANSALPINA I GRZECZNE TIRY

Do Rumunii wjeżdżam przez Bułgarię, gdzie pierwszy raz podczas odprawy sprawdzają mi kufry. Moim celem jest przejechanie Drogi Transfogaraskiej i Transalpiny, najwyższej po-



FOT. Cezary Wasyluk

łożonej drogi Rumunii. Już na początku legendarnej 7C pojawiają się bardzo przyjemne „winkle”. Ruch jest niewielki, więc mogę bawić się motorem aż do kresu umiejętności. Na całej trasie asfalt dobrej jakości. Spodziewałem się też większej wspinaczki. Przejeżdżam przez kilka zadaszeń, chroniących przed odłamkami skalnymi. Pod koniec spotykam polską ekipę na „turystykach”.

Wreszcie żegnam Rumunię. Tym razem droga jest męcząca – w niektórych miejscach trafiają się kilometrowe korki, które tworzą prawie same tiry. Ale ze wszystkich państw, przez które przejeżdżałem, to właśnie tutaj kierowcy mnie przepuszczają. Piękna Rumunia jest idealnym zakończeniem wyprawy.

Dalej do Polski wracam przez Węgry, Słowację i Czechy, gdzie na 400. kilometr przed

metą pęka linka sprzęgła. Sytuację ratuje młody Czech, który pomaga mi naprawić przewidywalnie usterkę.



FOT. Cezary Wasyluk

Po 39 dniach, niemal 12 tysiącach kilometrów, z kuframi pełnymi przygód, dojeżdżam do domu, gdzie zaczynam marzyć o następnej podróży. ☺

NA TRANSFOGARASKIEJ TRASIE

Dzięki dobremu asfoltowi i licznym zakrętom ta rumuńska trasa to prawdziwy raj dla motocyklistów, przyciągający również amatorów górskich widoków.

VOTUM SA

MIAŁEŚ WYPADEK?
Sprawdź, jak możemy Ci pomóc!

ODSZKODOWANIE – GŁOS W TWOJEJ SPRAWIE

- ✓ **Pomogliśmy ponad 100 000 Polaków!**
- ✓ Jesteśmy największą w Europie Środkowo – Wschodniej firmą zajmującą się dochodzeniem odszkodowań.
- ✓ **Niesiemy pomoc:**
 - uczestnikom wypadków komunikacyjnych: kierowcom, pasażerom, rowerzystom, pieszym,
 - osobom poszkodowanym w wypadkach w gospodarstwie rolnym, przy pracy.

bezpłatna infolinia

800 217 417

www.votum-sa.pl



Europejka w kwiecie wieku wraca z Wietnamu, Japonii czy Malezji z opalenizną i bagażem duchowych doświadczeń. I przywozi ze sobą niepokojące pytanie... Dlaczego zadbane Azjatki wyglądają od niej młodziej?



Miss AZJA

Paulina Kańska

Azjatycki ideał piękna trudno jednoznacznie określić. Azjaci, podobnie jak i mieszkańcy Europy, różnią się od siebie. I nie chodzi tylko o wyraźnie odmienną urodę indyjską. Każdy, kto pomieszka dłużej w Singapurze, gdzie ze względu na portowy charakter państwa od zawsze panuje rasowy i narodowościowy melanz, zacznie po pewnym czasie orientować się w subtelnych różnicach. Chińczycy na przykład mają proporcjonalnie większe głowy w stosunku do reszty ciała, Japończycy

posiadają ostrzej zarysowane kości policzkowe, a Koreańczyków wyróżnia jaśniejsza karnacja. Istnieją też określone cechy, które dla każdej z nacji są determinantem piękna, a wypukła je najlepiej młodość.

Dlatego zamiast winić babcię za nasze zmarszczki (geny dziedziczymy głównie w drugim pokoleniu), lepiej, zaglądając na drugi koniec świata, podkraść od skośnookich koleżanek kilka pomysłów na walkę z czasem, nie tracąc przy tym oczywiście zdrowego rozsądku.

JAK WYPAŚĆ BLADO

Wszyscy, którzy zachwycali się literackim bestsellerem „Wyznania gejszy”, skojarzą na pewno białą do przesady twarz kobiety z okładki. Błada, porcelanowa cera to podstawa azjatyckiej urody. Po pierwsze dlatego, że kojarzy się z klasą wyższą, która nie musiała pracować, zrywając ryż, w słońcu i pocie czoła. Słońce to prawdziwy przyspieszacz starzenia skóry, więc świadome tego Azjatki unikają go jak ognia. Parasolka przeciwsłoneczna, specyficzne chińskie (stożkowate) nakrycia głowy, które osłaniają również kark, maseczki na twarz oraz rękawiczki



FOT. SHUTTERSTOCK

przy trzydziestostopniowym upale – oto elementy kobiecych strojów rzucających się w oczy europejskiemu turyście. Jeśli jeszcze zajrzymy do torebki miejscowej piękności, znajdziemy w niej krem nie tylko z faktorem SPF (Sun Protection Factor), ale i obowiązkowym faktorem PA (Protection Grade of UVA), powstrzymującym promieniowanie docierające do skóry głębokiej, odpowiedzialne za przedwczesne starzenie.

Skoro już mowa o kremach... Azjatki doskonale rozróżniają ich dwa rodzaje, które w Polsce traktowa-

ne są właściwie jako synonimy: przeciwzmarszczkowy i przeciw starzeniu. A różnica jest. Ceniąc w swojej skórze to, co najpiękniejsze, czyli jej młodzieńczy wigor, sięgają one po kremy przeciw starzeniu już jako nastolatki, kiedy zmarszczek wcale nie widać. Kremy takie zawierają kwas hialuronowy pomagający uzupełnić ubytki w nawilżeniu, adenozyne przyspieszającą tempo regeneracji, witaminę C, również pobudzającą metabolizm, oraz czynnik kluczowy, czyli przeciwutleniacze.

Śpiące na ogół w pomieszczeniach klimatyzowanych mieszkanek Dalekiego Wschodu do stosowania kremów na noc posiłkują się maseczkami „sleeping bags”. Są to zwyczajne, papierowe kartoniki z otworami na oczy, nos i usta, które nakłada się na twarz po uprzednim nałożeniu maseczki/kreму. Dzięki temu: może on dobrze się wchłoniąć, cera przez kilka godzin snu nie jest wystawiona na działanie sztucznego nawiewu, no i nie brudzi się poduszki.

Ważny dla pielęgnacji skóry jest sam moment nakładania maseczki, który przeobraża się tam w krótki, ujędrniający masaż. Dwa pięciominutowe masáže dziennie, stosowane przez – powiedzmy – dwadzieścia lat życia, to już prawdziwy zabieg odmładzający. Masaż pobudza ukrwienie cery, pomaga też przesunąć na swoje miejsce to, co w trakcie dnia grawitacja ściągnęła w dół.

Bywa, że azjatyckie dążenie do białości rodzi zachowania skrajne. Indie to jedyny kraj na świecie, gdzie nadal sprzedawane są preparaty wybielające z dodatkiem rtęci. Chociaż produkty tego typu skutecznie hamują przebarwienia na skórze oraz rozjaśniają cerę, to ich długotrwałe stosowanie zatrzuwa organizm, co objawia się między innymi chronicznym zmęczeniem, bólami głowy i kończyn, bezsennością czy utratą pamięci.

Oprócz naturalnie wybielających maseczek z kurkumy, gliceryny lub mąki z ciecierzycy równie często stosuje się w tym celu po prostu botoks albo lasery.



FOT. SHUTTERSTOCK

PIĘKNO MA WIELKIE OCZY

Po urodzeniu gałka oczna dziecka ma 80 proc. wielkości oka osoby dorosłej. Dlatego też dzieci mają (proporcjonalnie) duże oczy, i takie właśnie kojarzone są z młodością. Chinki, Japonki czy Koreanki wychodzą więc z siebie, aby swoje oczy powiększyć. Najprostszym sposobem na uzyskanie tego efektu jest odpowiedni makijaż. Obecnie damska część wschodniej Azji przeżywa zauroczenie makijażem w stylu „puppy eyes” („oczy szczeniaka”).



FOT. SHUTTERSTOCK

Zabiegi Azjatek potrafią być też bardziej inwazyjne. Na przykład – podwójna powieka. Przy pomocy specjalnej taśmy lub kleju część powieki nakładana jest na drugą, przez co wizualnie tworzy efekt zakładki. Typowo azjatyckim kosmetykiem (made in Korea) są tzw.

circle lence. To soczewki kontaktowe, które zmieniają nie tylko kolor, ale i wielkość tęczówki oka poprzez obrysowanie jej czarną obwódką lub, w wersji mniej drastycznej, poprzez dodanie warstwy, która z czarnej obwódki przechodzi w naturalny kolor tęczówki. Efekt jest piorunujący. Dosłownie. Z odległości dwóch metrów oko zachwyca, z odległości 50 cm przeraża...

NIE PUPA, LECZ GŁÓWKA

W Azji ważniejsze od jędrnej pupy, kształtnych bioder i wylewnego biustu są: mała główka, drobne usta, zgrabny nos o wysokim grzbiecie i szczupła sylwetka. Trochę tak jak u idealnej nastolatki. W uzyskiwaniu takiego efektu Azjatki posługują się na przykład zakolanówkami, kozakami i koturnami. Dobrze pomagają też wysoko zaznaczona talia oraz prosty kształt ubrań – bez wcięć (tuniki, długie koszule, T-shirty).

Z idealnym kształtem głowy – o twarzy wielkości płyty CD i brodzie układającej się w szpiczaste „V” – można się po prostu urodzić, ale można też pomóc sobie chirurgicznie. Niektóre skośnookie panie wszczepiają w brodę tzw. wypełniacze, umożliwiające uzyskanie właśnie takiego, pożądanego kształtu. Oprócz tego zabiegu najczęstsze operacje plastyczne (np. w Korei) dotyczą usuwania części szczęki, redukcji kości policzkowych lub korekty nosa – tu chodzi o jego zwężenie i podniesienie, dzięki czemu cała twarz robi wrażenie mniejszej.

POD WŁOS

Chociaż szamponów jest w Azji dostatek, o wiele trudniej już o ulubioną odżywkę. Powód jest znany. Ponieważ kondycja włosów zależy w dużej mierze od jego nasady i cebulki, Azjaci (problem w równej mierze dotyczy mężczyzn, jak i płci pięknej) skupili się na poprawie stanu skóry głowy. Na drugi plan zepchnęli doraźne działania na całą długość włosów. Zamiast odżywek stosują różnego typu wcierki albo zażywają specjalne herbatki i preparaty doustne, przy czym obowiązkowym elementem wizyty u fryzjera jest masaż skóry głowy.

W myśl zasady, że bujna czupryna jest przywilejem młodości, a łysienie – nie, w Azji na porządku dziennym stosuje się peruki lub klipsy z doczepianymi włosami. Istnieje również cała gama kosmetyków umożliwiających (uwaga!) dorysowywanie włosów, szczególnie w okolicy zakola. Bowiem to właśnie te miejsca uwydatniają ewentualne braki przy popularnym tutaj koczku.

Aby wizualnie zmniejszyć głowę (patrz akapit o twarzy), Japonki stosują tzw. japońską trwałą, czyli pozostawiają proste włosy wzdłuż owalu twarzy, zakręcając loki dopiero od szyi w dół. Efekt murowany, pod warunkiem że końcówki są podatne na kręcenie.

Wszystkie odmładzające zabiegi wspomagają oczywiście odpowiednia dieta. Trzeba przyznać, że naszym azjatyckim koleżankom przyszła z pomocą natura. Z racji miejsca zamieszkania łatwiej im o dojrzały granat, zieloną herbatę, mięsiste awokado czy soczystego arbuza, czyli rewelacyjne źródła odmładzających antyoksydantów. W zwalczaniu starzenia Azjatki wspomagają się pić wodę destylowaną, unikaniem „gorących” potraw (czekolada, mięso) oraz oczyszczającym sokiem ze sliwk, który działa zbawiennie na szarą, zmęczoną cerę. ○



ROZMOWA Z NATASZĄ URBAŃSKĄ – aktorką teatru Buffo w Warszawie

Poznaliśmy się wiele lat temu na Dworcu Centralnym w Warszawie. Siłą rzeczy musimy więc rozmawiać o podróżach. Zwłaszcza że wspólnie odbyliśmy ich kilka. Niech przewodnikiem po naszych podróżach będą przedstawienia grane w Teatrze Buffo o nazwach... i teraz po kolei: „Wieczór bałkański”. Rok po naszym zapoznaniu spotkaliśmy się w Chorwacji w Mali Lošinj na wakacjach. Jak lubisz wypoczywać?

Potrafię leżeć na plaży. Janusz (Józefowicz) to zwykle organizuje: miejsce, leżaki, ręczniki. Po czym ja siadam, a on mówi: „Dobra, to ja idę na przechadzkę”. I znika na godzinę. On natychmiast otwiera się na ludzi, zawiera nowe znajomości. Już po dwóch dniach odpoczywania go nosi.

Ty jesteś inna - wyciszona. Jak więc znosisz te nowe znajomości? Jestem trochę bardziej ostrożna, nie wychylam się, ale lubię poznawać ludzi. Miejsca, w których byliśmy, kojarzymy z nimi. Tak było na przykład z wyprawą do Wenezueli. Poznaliśmy

tak cudownych ludzi, że do dzisiaj utrzymujemy kontakt. Zresztą cały pobyt tam był niesamowicie atrakcyjny. Wyprawa do Delt Orinoko, mieszkanie w domku na palach, gdzie ściany były zrobione z płótna, a za nimi słychać było polującą zwierzyńnię. Nie było prądu. Aby dojść z kolacji przez pomost do naszego domku, dostaliśmy

świeczkę. Zanim doszliśmy, świeczka się wypaliła. A zwierzęta szalały. Myślałam, że umrę ze strachu.

Kolejne przedstawienie to „Wieczór włoski”. Byliście razem w Rzymie. Lubisz to miasto?

Wolę Florencję. To jest nasze miejsce. Rzymu do końca nie czuję, jest przeładowany turystami. We Florencji Janusz mi się oświadczył, są tam restauracje, do których wracamy. Jest cudowna architektura, wspaniałe małe kościółki, wręcz czujesz,

kto chodził po tamtejszym bruku. No i wreszcie coś dla kobiety: cudowne sklepy, jakich nie ma w Rzymie.

„Wieczór anglosaski” przypomina o Nowym Jorku. Oczywiście odwiedziliśmy teatry broadwayowskie. Jesteś artystką musicalową, więc to miasto jest Ci pewnie szczególnie bliskie?

Hmm. Legenda, że Broadway jest centrum musicalu już się nie potwierdza. Tam się niestety gra wiele staroci. Jest wiele miejsc, gdzie można zobaczyć coś nowocześniejszego. Wspaniałe natomiast jest Las Vegas.

Ale tam nie grają musicali.

Za to jest wiele przedstawień Cirque du Soleil. Wspaniałe wykonawczo i technicznie.

Bo tam się inwestuje ogromne pieniądze. Dla jednego przedstawienia, które jest później grane przez kilka lat, przebudowuje się scenę.

Pamiętaj jednak o tym, że w Las Vegas można też zobaczyć koncerty znanych gwiazd, i to koncerty inne niż te, które grają na trasach. W hotelu Win widziałam Beyoncé. Bez wielkich efektów scenograficznych i świetlnych, tylko z zespołem, musiała dać z siebie wszystko, by walczyć o uznanie publiczności. I dała. To artystka z wielką charyzmą.

To teraz „Wieczór rosyjski”.

Byliście razem w Rosji?

Nie, ale na Ukrainie.

Słusznie. Czy mam Ci opowiedzieć, jak wyglądała podróż pociągiem do Kijowa? Chcesz usłyszeć o zamkniętej przez całą drogę toalecie? O zimnych wagonach lub o wagonach, które śmiało mogły konkurować z sauną, gdy poprosiliśmy o ich podgrzanie? Tam nie było rozwiązania pośredniego.

Chcę usłyszeć, że życie – nawet popularnej artystki – nie jest łatwe.

Nie jest. Gdy byłam nastolatką i uprawiałam gimnastykę artystyczną, bo chciałam być mistrzynią świata, jeździliśmy z koleżankami na obozy sportowe do Brześcia i do Moskwy. Mieszkałyśmy wprawdzie w pokojach, gdzie po wejściu trzeba było tupnąć, zaklaskać, narobić hałasu, zapalić światło, by przestraszyć karaluchy. Nie zapamiętałam jednak tych podróży jako tak strasznych jak ta, o której rozmawiamy.

Chcę opowiedzieć o tym, jak trudne życie ma artystka, której mężem jest jej reżyser. Pamiętam, jak na scenie Janusz kazał Ci się taplać w błocie. Tańczyłaś w tym przedstawieniu i za każdym razem byłaś strasznie wysmarowana. Ja bym z nim z tego powodu zerwała.

Nie, to było fajne. Uwielbiam takie role, takie doświadczenia, takie wyzwania.

Obyś miała ich więc jak najwięcej. ◊



Z ARCHIWUM NATASZY URBAŃSKIEJ

Marek Szpendowski – producent filmowy, właściciel agencji Viva Art. Organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.

Weszłam w głośny i wesoły tłum. Jedni sunęli bez celu, inni siedzieli na stołeczkach i popijali herbatę. Zewsząd dobiegała muzyka. Na uliczkach kwitł handel pamiątkami, rękodziełem oraz instrumentami muzycznymi. Znalazłam się w berberyjskiej As-Sawirze, na Festiwalu Gnawa i Muzyki Świata. I od razu pokochałam to miejsce.



Z moim gospodarzem w Agadirze umówiłam się za pośrednictwem strony couchsurfing.org. Ponieważ miałam ze sobą jedynie bagaż podręczny, szybko wyszłam z lotniska. Ayyur już na mnie czekał.

– *Pierwszy raz jestem w arabskim kraju* – powiedziałam, od razu zdając sobie sprawę, że popełniam gafę. Ayyur popatrzył na mnie pytająco: – *Czyli uważasz, że Maroko to arabski kraj?*

Przypomniałam sobie, co o Marokańczykach mówił Rani, mój gospodarz ze Stambułu kilka miesięcy wcześniej: – *To nie są żadni Arabowie, oni nawet nie mówią po arabsku. To Berberowie.*

Weronika Ulicka

ŚWIĘTO MUZYKI I OCZYSZCZENIA

WIZERUNEK WOLNEGO CZŁOWIEKA

Jak okiem sięgnąć – luksusowe hotele, z przeznaczeniem dla amatorów wakacji *all inclusive*. Ulice pełne kawiarni i restauracji. Przy stolikach turyści popijający piwo i jedzący *tajine* (tradycyjną marokańską mieszankę duszonych warzyw z mięsem), niektórzy samotnie zadumani nad kieliszkiem wina. Na plażowym deptaku z kilku restauracji dobiega tradycyjna muzyka na żywo, a mężczyźna pilnujący publicznego szaletu tańczy na ulicy. W oddali widać wzgórze, gdzie wieczorem zapalają się lampki tworzące napis: Bóg – Ojczyzna – Król. Właśnie w takiej kolejności.

Kiedy pojechaliśmy do Taghazut, wioski oddalonej o kilkanaście kilometrów, zrozumiałam jednak, że Agadir warto odwiedzić przede wszystkim ze względu na jego okolice. Taghazut to śliczna mała wioska. Jej głównym atutem jest plaża, ale też zabudowa, która chwyta za serce. Jasnopomarańczowe mury, niebieskie okiennice, kilka sklepików dla surferów, sporo barów i kawiarni, w któ-

rych godzinami przesiadują starsi panowie. Wszechobecne koty i zapach portu. Kobiety w wielkich kwiecistych chustach owiniętych wokół ciała. W dole, nad oceanem, niebieskie łodzie rybaków...

Kiedy wracaliśmy, Ayyur powiedział, że gdybym została dzień dłużej, moglibyśmy spędzić na plaży następną noc. Zgodziłam się. Nazajutrz poszliśmy na bazar po zakupy na naszą wycieczkę. Kobiety ugniatały w wielkich glinianych naczyniach masę, będącą mieszanką orzeszków ziemnych, migdałów i oleju arganowego z cukrem. To jedna z najlepszych rzeczy, jakie jadłam w życiu.

Do Taghazut dotarliśmy ponownie, kiedy słońce zachodziło. Wzdłuż plaży ciągnęła się skalna ściana. Znaleźliśmy szeroką, ale niezbyt głęboką jamę z półką. Tam Ayyur przygotowywał palenisko. Kiedy ja zbierałam suche patyki, on wrócił uszczęśliwiony: – *Będziemy mieć prawdziwą berberyjską herbatę! Znalazłem wyschnięte odchody wielbłąda na podpałkę.* Zapadła noc. Otoczyliśmy grotę konstrukcją z patyków

As-Sawira, w zachodnim Maroku. Tu łatwo natknąć się na ulicznych grajków, spontanicznie wykonujących muzykę gnawa, opartą na wierzeniach przedislamskich. Dzięki festiwalowi miasto zyskało miano marokańskiego Przystanku Woodstock.



i płachty materiału, w który ubierają się berberyjskie kobiety. Mieliliśmy herbatę z miętą i cukrem, trochę warzyw na sałatkę, chleb i orzechowo-migdałową masę.

Berberowie mają ciekawy stosunek do kobiet. Z jednej strony utożsamiają się z patriarchalnym islamem, z drugiej są bardzo związani z kulturą przedmuzułmańską. *W tamtym czasie* – opowiadał Ayyur – *kobiety miały dość silną pozycję w społeczeństwie, chociaż z reguły role polityczne i religijne pełnili mężczyźni.* Jedną z charakterystycznych cech ich kobiet są tatuaże na twarzy. – *W czasie przedmuzułmańskim* – mówił Ayyur – *wśród Berberów obowiązywało prawo*

pierwszej nocy. Te, z którymi król spędził noc, były tak naznaczone. Aby przechytrzyć władcę, wszystkie panny zaczęły tatuować sobie twarze, i zwyczaj ten stał się tradycją...

Przed przyjęciem religii Arabów Berberowie wyznawali chrześcijaństwo i judaizm. Konwersja przysłała nomadom z łatwością. Uważają islam za jasny i logiczny zbiór zasad. Wiele nakazuje, ale pozwala na odstępstwa, jeśli okoliczności są niesprzyjające, co jest ważne dla społeczności przemieszczających się w pustynnych warunkach. Podkreśla znaczenie dobrych uczynków i pomocy bliźnim oraz wszelkim bożym stworzeniom, a to ułatwia przetrwanie na Saharze. Nawet jeśli Marokańczyk nie praktykuje ściśle zasad religii, poważnie natychmiast, gdy pojawia się temat islamu. Uważa się za muzułmanina i dziwi go, gdy jego rozmówca nie przynależy do żadnego wyznania. „Jak to, pyta, jak można nie mieć religii?”

W Taghazut na ścianach budynków, w sklepach i kawiarniach, właściwie wszędzie, widniał – wydrapany lub namalowany – symbol tożsamości Berberów: wizerunek wolnego człowieka.

Wejście na suk w Marrakeszu. Labirynt uliczek i straganów jest tu niezmierny, a brak punktów odniesienia sprawia, że można łatwo pobrać.

FOT. WEBRONKA LUCJA

Jest on też elementem trójkolorowej flagi. Żółta część symbolizuje piaski pustyni, zielona – przyrodę lub oazę, która utrzymuje przy życiu, a błękitna – bezkres nieba nad wydmami. Berberowie, czyli „barbarzyńcy”, to nazwa, jaką określili ich Rzymianie. – *Ale oni mówią o sobie Amazigh – podkreślał Ayyur – co oznacza „wolni ludzie”. Są panami pustyni i nawet jeśli mieszkają w mieście, wspomnienie koczowniczego życia wywołuje u nich nostalgię.*

Po zimnej nocy pod rozgwieżdżonym niebem zjedliśmy śniadanie na pustyj plaży nad oceanem, o wschodzie słońca. To był najlepszy początek dnia, jaki można sobie wyobrazić.

STAN SZCZĘŚCIA W WIETRZNYM MIEŚCIE

Uważając się za muzułmanów, Marokańczycy prowadzą jednocześnie dość zabawowe

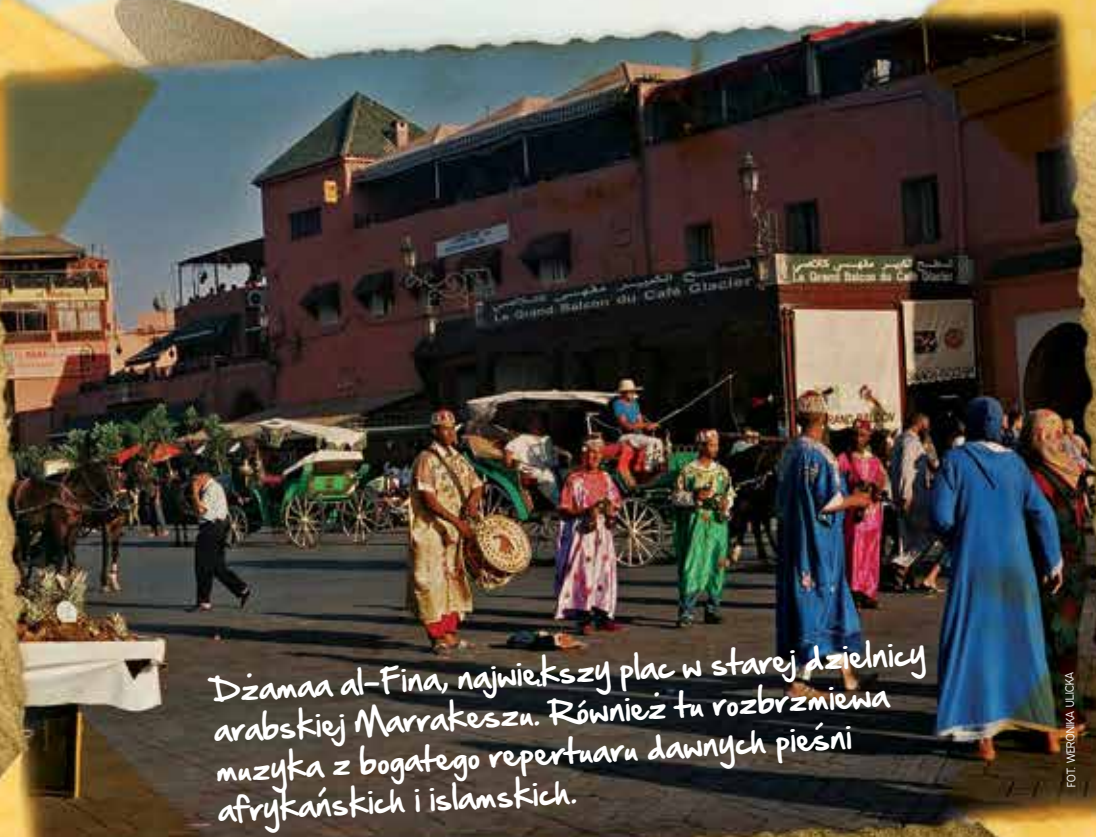
życie, zaprawione haszyszem i alkoholem. Na co dzień to wesołe, przyjacielskie i pełne entuzjazmu społeczeństwo, uśmiechające się i pozdrawiające na ulicy. Ale jest i druga strona medalu. Pod powierzchnią beztroski ukrywa się żal i brak spełnienia. Mimo uwielbienia dla własnego kraju wielu z Marokańczyków nie widzi dla siebie perspektyw na przyszłość.

– *Każdy z nas o czymś marzy – tłumaczył mi pewien dwudziestokilkulatek, którego poznałam w As-Sawirze. – Może wydaje ci się, że nie mamy żadnych ambicji, bo widzisz samych sprzedawców pamiątek i czyścibutów. I wszyscy są szczęśliwi. Ale to nie tak. Większość z nas chce*

Fort obronny Castelo Real de Mogador w As-Sawirze, wzniesiony 500 lat temu przez Portugalczyków.



FOT. WERONIKA ULJICKA



Dzamaa al-Fina, największy plac w starej dzielnicy arabskiej Marrakeszu. Również tu rozbrzmiewa muzyka z bogatego repertuaru dawnych pieśni afrykańskich i islamskich.

FOT. WERONIKA ULJICKA

wyjechać za granicę do pracy, do lepszego życia, tyle że to niemożliwe... Straciliśmy nadzieję, staramy się więc, jak się da, aby życie tutaj było lepsze i weselsze.

Gdyby nie Festival Gnaoua et Musique du Monde pewnie nie przyjechałabym do Maroka, które wydawało mi się nazbyt turystyczne. As-Sawira leży na północ od Agadiru. Mówią o niej Wietrzne Miasto (słynie z klimatu, dzięki któremu kwitnie tutaj surfing). Na końcu głównej Avenue de l'Istiqlal, nad kamienną plażą, stała już duża scena, na której trwały ostatnie próby. Dalej zaczynał się port, gdzie można było poczuć zimny wiatr As-Sawiry. Z otaczającego go muru widać było bezmiar oceanu i kilka niedużych wysp. Rachid, z którym umówiłam się za pośrednictwem couchsurfingu, od dwóch dni nie odpowiadał na moje wiadomości. Byłam jednak spokojna i miałam silne przekonanie, że wszystko będzie dobrze. Jak zawsze.

Spacerowałam bez celu, rozmawiając z ludźmi i odpowiadając na zwyczajowe pyta-

nia w rodzaju: skąd jesteś, jak masz na imię? Nie minęła godzina, a znałam już połowę sprzedawców na Avenue l'Istiqlal i zewsząd słyszałam pozdrowienia. Byłam zmęczona, od słońca rozboleła mnie głowa, coraz silniej dokuczał mi głód, a Rachid wciąż nie odbierał telefonu. Mimo to czułam się najszczęśliwszą osobą na świecie. Możliwe, że właśnie wtedy poznałam, co oznacza *baraka*. Różnie definiuje się to pojęcie, ale chyba najlepiej zrozumieć je na przykładzie: masz tylko jedną miskę jedzenia i nagle zjawia się dziesięciu wygłodniałych, zmęczonych ludzi, a ty dzielisz się posiłkiem – i w cudowny sposób wszyscy są najedzeni. To właśnie jest *baraka*, błogosławieństwo.

Rachid zadzwonił do mnie po trzech godzinach, gdy leżałam wyciągnięta na ławce w słońcu i popijałam sok pomarańczowy, odpowiadając na pozdrowienia.

As-Sawira w czasie festiwalu zmienia się w wielki tygiel kulturowy. Zjeżdżają tam ludzie z Maroka, w tym rodzimi rastamani, ale także mieszkańcy innych krajów Maghrebu oraz Czarnej Afryki, głównie z Senegalu,

Łodzie rybackie w Taghazucie, małej berberskiej wiosce rybackiej, 20 km na północ od Agadiru.



FOT. WERONIKA JLUCKA

Mali, Burkina Faso. Przybywają też fani muzyki gnawa z całego świata. Wszędzie czuje się uwielbienie dla Boba Marleya, ale króluje reggae afrykańskie: Tiken Jah Fakoly czy Alpha Blondy z Wybrzeża Kości Słoniowej. Całą tę mozaikę łączy głębokie poczucie jedności, które wyrażone w okrzyku Vive l'Afrique! unosi się nad festiwalem niczym duch opiekuńczy.

Przez pierwsze kilka lat na niewielkich scenach rozstawionych we wnętrzu medyny grano jedynie gnawa. Publiczność stanowili miejscowi i przybysze z pobliskich miast, a także bogaci Marokańczycy przyjeżdżający z odleglejszych miejsc. Z czasem organizatorzy postanowili stworzyć imprezę na skalę międzynarodową i w ciągu piętnastu lat festiwal stał się różnorodnym, rozpoznawalnym w świecie wydarzeniem. Poza grupami gnawa z Casablanki, Marrakeszu czy As-Sawiry można tu m.in. zobaczyć: marokański zespół reggae Bob Maghrib, artystów z Senegalu, Mali i Kuby, sufich z Pakistanu oraz wspianą grupę

Djembe New Style, której członkowie pochodzą z Wybrzeża Kości Słoniowej, Mali, Burkina Faso i Gwinei. Występują także muzycy z Europy, którzy grają samodzielnie albo razem z Afrykanami.

WYPĘDZANIE POPRZĘZ GRANIE

Gnawa to niezwykła muzyka religijna, łącząca wpływy berberyjskie i afrykańskie, głównie z zachodniego Sahelu. Powstała dla wybawienia duszy – z jej pomocą wypędza się złe duchy. Lila (po arabsku: noc) i całonocny obrzęd gnawa to święto muzyki i oczyszczenia. Przewodniczy mu *maalem* – mężczyzna, który gra na *gimbri*, rodzaju gitary basowej z trzema strunami, i śpiewa. Towarzyszy mu chór (przeważnie męski) wystukujący rytm kastanietami (*graqab*). Intensywność i powtarzalność tych dźwięków, w połączeniu z przejmującym śpiewem *maalema*, wprowadza w trans owładnię-

Rachid w jednym ze swoich ulubionych barów w As-Sawirze. Na obiad była zupa z soczenicy.



FOT. WERONIKA ULICKA

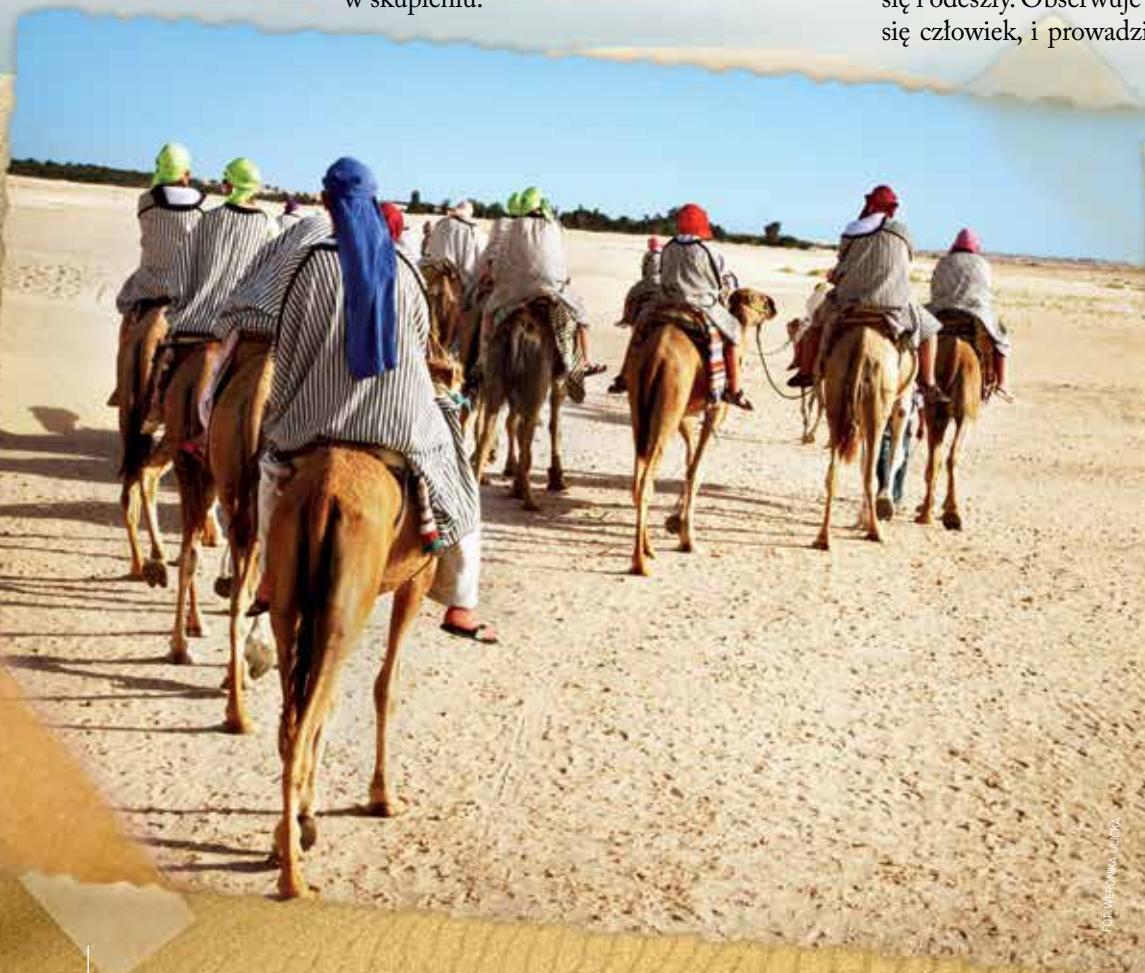
tych przez demona. Każdy demon reaguje na inną pieśń. Gdy ją usłyszy, po krótkiej walce opuszcza ciało ofiary.

Najstojniejszym duchem jest Aicha Kandicha (opowiada o niej jeden z najpiękniejszych utworów). Ma postać uwodzicielskiej i bardzo niebezpiecznej kobiety o wielbłądzych nogach, która kusi mężczyzn, by potem zawładnąć ich duszą. Aicha to ktoś więcej niż tylko bohaterka legend. Kobieta o tym imieniu była przywódczynią zbrojnej opozycji przeciwko kolonizacji Maroka. (Kiedy jednak pytam, dlaczego uważana jest za złego ducha – Rachid odpowiada, że nie wie, i wzrusza ramionami).

Prawdziwy obrzęd Lila zaczyna się o zachodzie, na ulicy. Po jakimś czasie przenosi się do Domu Gnawa, gdzie trwa aż do świtu. Każda pieśń to modlitwa. Wierni siedzą w ciszy i zamyśleniu, tylko co jakiś czas ktoś pada na ziemię, a potem tańczy w transie, by oczyścić duszę. Na samym festiwalu wygląda to oczywiście inaczej, pod sceną bowiem bawią się tłumy, choć też wielu słucha muzyki w skupieniu.

Kiedy o drugiej czy trzeciej w nocy koncerty dobiegały końca, miasto zapełniało się ludźmi. Kluczyli uliczkami, starając się wśród gwaru wychwycić choć jedną nutkę, która doprowadzi do celu. Spędzaliśmy tak z Rachidem każdą noc. Wygłodniali dźwięków, spragnieni hipnotyzującego śpiewu i metalicznego rytmu kastanietów, drugiego wieczora trafiliśmy na tłumek, który otaczał *maalema* siedzącego na wyłożonym poduszkami bruku. To było jak znalezienie na ulicy lustro, przenoszącego w inny świat. Ludzie słuchali muzyki, chłonąc ją głębiej i głębiej, kastaniety trzaskały coraz mocniej i ostrzej. Rytm przyspieszał. Nagle, gdy rozbrzmiały pierwsze nuty pieśni, zapanał tumult. Przez tłum prowadzono mężczyznę patrzącego przed siebie nieprzytomnymi oczyma. Jego rozedrgane ciało pokrywał pot. Za chwilę sztywny jak deska padł na ziemię. Wstać pomogło mu dwóch innych, asekurując go potem w szalonym tańcu.

Maalem jest wybawicielem-przewodnikiem. Wie, jak sprawić, by demony ujawniły się i odeszły. Obserwuje stan, w jakim znajduje się człowiek, i prowadzi muzykę tak, aby dać



mu pełne oczyszczenie. Młoda kobieta, która w transie rytmicznie biła się w głowę kastanietami i długimi włosami omiatała bruk u stóp *maalema*, na koniec ucałowała go w podziękowaniu. Dzięki niemu mogła uwolnić się od zła.

PRZEBUDZENIE W AGADIRZE

Ten festiwal to eksplozja kolorów i dźwięków. Muzyka jest wszędzie. Dobiega z każdego sklepu czy baru.

– *Chodź, pokażę ci, co gram* – powiedział do mnie pewien sprzedawca pamiątek, a kiedy słońce schowało się za horyzontem, poprowadził mnie do sklepu swoich znajomych. Pokazał bębny i wystukał kilka rytmów. Jak na wezwanie, mały pokoik wypełnił się ludźmi. Wszyscy powyjmowali bębny i metalowe kastaniety. – *Chciałbym zagrać dla ciebie, ale muszę zapytać naszego menedżera* – powiedział jeden z muzyków, na co wszyscy wybuchli śmiechem, a człowiek, który najwyraźniej pełnił tę rolę, przyzwalająco skinął głową. Mężczyźni śmiali się, śpiewali, raz po raz zrywając się do tańca, aż drżały ściany sklepiku.

Siedziałam pośrodku tego wszystkiego jak zaczarowana i nieśmiało kiwałam nogą. Po raz kolejny czułam się najszczęśliwsza. Nie obchodziło mnie, czy naprawdę są Tuaregami, czy od pokoleń mieszkają w As-Sawirze; czy ubrali się we własne tradycyjne stroje, czy też przebrali, by zaciekać turystkę. To, co tam się działo, ich muzyka i entuzjazm, były autentyczne.

Kiedy wieczorem wysiadłam z autobusu w Agadirze, czułam się jak obudzona z pięknego snu. Jeszcze kilka godzin wcześniej, zasypiając o świcie, miałam w uszach ostry dźwięk kastanietów. I nagle znowu znalazłam się w cichym i spokojnym kurorcie. Ayyur odebrał mnie z przystanku, a nazajutrz odwiózł na lotnisko, gdzie uściskaliśmy się, a potem pomačałam mu paszportem, znikając za kontrolnymi bramkami.

W samolocie usiadłam obok młodego Niemca. Z jego słuchawek dobiegał znajomy śpiew *maalema*. ◯



Zastęp jeźdźców oraz berberyjski dom na Saharze. Z prawej – trójkolorowa flaga Berberów. Mówią oni o sobie „Amazigh” (wolni ludzie) i takimi są – na pustyni.

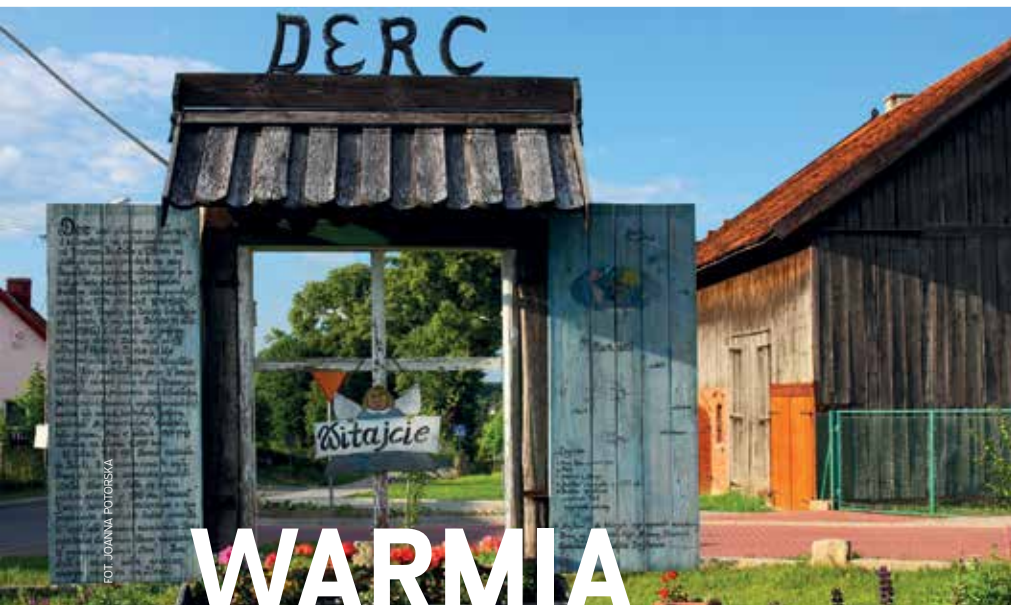


NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





FOT. JOANNA POTORSKA

WARMIA ZASKAKUJE

Warmia to nie tylko festiwal w Mrągowie i szerokie przestrzenie lasów. Region ten może też pochwalić się małutkimi miejscowościami „z duszą”. Jedną z nich jest Derc.

Wieś położoną na terenie gminy Jeziorany zamieszkuje nieco ponad 200 osób. Urok tego miejsca tkwi chociażby w wyjątkowości jego mieszkańców, którzy charakteryzują się chęcią poznawa-

nia świata. Przy wjeździe do Derca, na głównym placu, podróżników wita instalacja z otwartym oknem, symbolizująca szerokie horyzonty myślowe tych, którzy ją zbudowali. Na okiennicach spisane zostały dzieje Derca i wyrysowana mapa świata. Drewniane tabliczki kierują zwiedzających do interesujących miejsc, jak dawna karczma zachowująca starodawny układ pomieszczeń i oryginalne piece kaflowe. Warto też zobaczyć kaplicę św. Józefa wyróżniającą się na tle innych tego typu obiektów swoją wielkością. W odległości około 3 kilometrów znajduje się wieś Frączki z neogotyckim kościołem św. Marii Magdaleny i zabytkowym cmentarzem.

Ku chwale Derca, przy pomocy jego mieszkańców, powstała książka „Nasz Derc – wieś z duszą”.

 53°57'N 20°38'E

Derc znajduje się 32 km na północ od Olsztyna.



FOT. SHUTTERSTOCK

EDEN W ZASIĘGU RĘKI

Czeski Raj to pierwszy ustanowiony Park Przyrody UNESCO w Republice Czech. Kusi on wczasowiczów pięknem zróżnicowanej natury, przez co w pełni zasługuje na swą nazwę.

Jedną z największych atrakcji jest skalny obszar pomiędzy miejscowościami Jičín i Železný Brod. Można tu podziwiać okazałe piaszczyste o dziwacznych kształtach. Niektóre z nich otrzymały specyficzne nazwy, jak Batuta, Kapelmistrz, Latarnia Morska i Smoczy Kieł. Tajemnicze labirynty i skalne formacje, szczególnie Skały Prachowskie, są doskonałym miejscem do eksploracji ze względu na niezliczone łączące je ścieżki. Z pewnością warto zwiedzić elegancki pałac Hrubá Skála usytuowany dokładnie na skalnym szczycie, w ruinach zamku Trosky.

Zaletą Czeskiego Raju są też niewielkie odległości między zabytkami.

 50°37'N 15°10'E

Region Czeski Raj znajduje się około 100 km na północny wschód od Pragi.

Czechy Czeski Raj

AMSTERDAM

Jarosław Fiderek

www.facebook.com/24stolice



Gdy w XIII wieku nad brzegami rzeki Amstel rozwijała się rybacka osada, weneccjanie mogli poszczycić się już katedrą św. Marka - budowlą niezrównaną w swej maestrii. Jednak w złotym wieku Amsterdamu Wenecja najlepsze lata miała już poza sobą.

Mieszkańcy wczesnego Amsterdamu trudnili się rybołówstwem i żegluga, a że warunki były sprzyjające - dynamicznie rozwijał się tu port handlowy. Dzięki lokalizacji i wytrwałości mieszkańców miasto rozwijało się, osiągając w XVII wieku swój złoty okres. Port, z którego wyruszały statki do Ameryki, Azji, Afryki i całej Europy, zapew-





niał dostatek i światową pozycję Amsterdamu. Tu po raz pierwszy na świecie uruchomiono całoroczną giełdę papierów wartościowych, a miasto stało się największym udziałowcem w Kompanii Wschodnioindyjskiej.

W połowie XVII wieku przez miasto, jak i wiele innych, przeszła zaraza, która zabrała ponad 10 procent populacji. Jednak odbudowało ono swój status i w XIX wieku przeżywało kolejną zło-

ralny muzeum i można podziwiać już wszystkie sale wraz z kolekcjami, jakie w nich zgromadzono. Najbardziej znane są oczywiście prace Rembrandta – z przełomowym dla niego „Wymarszem strzelców” czy też „Nocną strażą”. Obrazy innych wielkich twórców holenderskich, takich jak Jan Vermeer van Delft czy Frans Hals, stanowią znikomy procent bogactwa zgromadzonych tu dzieł. Rijksmuseum to nie tylko malarstwo.

tą erę. Pod koniec wieku XIX powstał wspaniały gmach Rijksmuseum, do którego przeniesiono wiele dzieł sztuki narodowej, będącej dotąd w rozproszonych kolekcjach.

W roku 2013 ukończony został trwający wiele lat remont gene-

To podróż po kulturze materialnej Holandii z takimi eksponatami jak ceramika, biżuteria czy inne przedmioty sztuki użytkowej, aż po 2-metrowej wysokości domy dla lalek, w których z niezwykle pieczołowitością odtwarzano szczegóły wystroju mieszczańskich domów. Została tu także zgromadzona bogata kolekcja militariów, jak i wszystko, co wiązało się z morzem, oceanami i żeglarstwem – bo to flota umożliwiła eksplorację i handel z niemal wszystkimi zakątkami świata.

Dziś to miasto kanałów, w przeciwieństwie do turystycznej bez mała Wenecji, stanowi nadal tętniący życiem ośrodek.

Autor tekstu i fotografii: Jarosław Fiderek / www.facebook.com/24stolice



52°22'N 04°54'E

Do Amsterdamu można dolecieć bezpośrednio z Warszawy.



Wzór portugalskiej wioski

Portugalia Monsanto

Urokliwe Monsanto zostało w 1938 r. uznane za wzorcową wieś ojczyzny fado. Wzniesione pośród skał i ogromnych kamieni, stanowi żywe muzeum nadatlantyckiego kraju. Bajkową scenę tworzą ruiny zamku Maurów oraz ruiny średniowiecznego zamku obronnego. Monsanto obfituje w zabytki, jak Wieża Zegarów, Kościół Matki czy kaplica św. Jana. Ciekawostką stanowi Festiwal św. Krzyża, obchodzony 3 maja, podczas którego kobiety niosą na szczyt zamku typowe dla tradycji wsi szmacciane lalki zwane „marafonas”.



39°27'N 08°42'W

Monsanto znajduje się 115 km na północ od Lizbony.



Czarnogórcy mają i morze, i wyżyny, ale przede wszystkim góry, porównywalne z Tatrami. Właśnie one są sercem kraju, zwanego też Monte Negro – gościnnego, taniego i o pięknych krajobrazach.

GÓRY CZA

JEDEN MIŚ, A NAWET DWA

Czarne Jezioro jest największym z osiemnastu w masywie Durmitor. Ponad taflą wody wznosi się góra Niedźwiedź, najczęściej fotografowany szczyt masywu. Uważny obserwator dopatry się tu dwóch misiów: Veliki Medzed (2287 m n.p.m.) i Mali Medzed (2223 m n.p.m.).

RNOGÓRY

Maria Giedz



fot. SHUTTERSTOCK

DOLINA KUM KUM
 Żabljak, najwyżej położone (1450 m n.p.m.) miasteczko w Górach Dynarskich, pełni rolę czarnogórskiego Zakopanego. Swą nazwę zawdzięcza głośno kumkającym żabom, które upodobały sobie pobliski strumyk.

Te góry – skaliste, z jaskiniami i nieco inną niż w Polsce szatą roślinną, wymarzone dla miłośników pieszych wędrówek – są niemal puste. W maju można tu jeszcze jeździć na skiturach. Na czystą skałę trzeba poczekać do lipca, a czasem i sierpnia. Za to wiosenne słońce, zapach kosówki i wychodzące spod śniegu krokusy sprawiają, że chciałoby się tu zostać na dłużej.

Czarnogóra leży pomiędzy Chorwacją, Bośnią i Hercegowiną, Serbią, Kosowem oraz Albanią. Po chorwackich cenach, zwłaszcza w okolicach Jezior Plitwickich, oraz dalmackiej zdawkowej uprzejmości, Czarnogóra szokuje na każdym kroku. Mały, ubogi kraj ma nie tylko całkiem niezłe drogi i rozwiniętą infrastrukturę turystyczną, ale jest czysty, stosunkowo tani i niezmanierowany przez turystów.

Ludzie są życzliwi, pomocni i chętnie rozmawiają z przybyszami, nawet o tragicznych wydarzeniach sprzed kilkunastu lat. Przyznają, że była to głupia i niepotrzebna wojna, zwłaszcza że dzisiaj znów, jak za dawnych czasów, zaczynają mieszkac obok siebie prawosławni, muzułmanie i katolicy.

U STÓP ŚPIĄCYCH RYCERZY

Chorwackie serpentyny są niczym w porównaniu z czarnogórskimi. Można je porówny-

wać z norweską Drogą Trolli, tyle że w Czarnogórze zakręty są często zadrzewione lub zakrzaczone. Za to tzw. agrafki występują co kilka kilometrów. Żeby dojechać do Żabljaka, trzeba się niezłe nakręcić. Jest to niewielkie, kilkutysięczne miasto, położone najwyżej na Bałkanach, bo na wysokości 1450 m n.p.m. Nie wyróżnia się niczym specjalnym, poza wspaniałą panoramą na góry, które w 1980 roku wpisane zostały na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Do ważniejszych wydarzeń ostatnich czasów, jakie miały miejsce w Żabljaku, można zaliczyć to z kwietnia 1992 roku, kiedy serbski przywódca polityczny Slobodan Milošević ogłosił powstanie Federacyjnej Republiki Jugosławii, zapoczątkowując tym samym wojenną lawinę. Niektórzy owe miasteczko mylą z drugim Żabljakiem, również znajdującym się w Czarnogórze, który do 1482 roku był stolicą kraju, a położonym nad Jeziorem Szkoderskim.

Żabljak, do którego dotarłam, uznawany jest za czarnogórską stolicę sportów. Mimo wielu architektonicznych brzydactw stanowi bazę noclegową o zróżnicowanych i niewygorowanych cenach. Jest też miejscem, z którego wyrusza się w góry do bogatego w różnorodność krajobrazy Parku Narodowego Durmitor. Jego nazwa ma dwojakie znaczenie. Jedno mówi



FOT. SHUTTERSTOCK

o uśpionych (czy też śpiących) górach albo śpiących tu rzymskich rycerzach, czekających na wezwanie do boju. Inne wywodzi się ponoć z języka celtyckiego i oznacza „wodę z gór”.

Wieczorową porą, od wiosny do jesieni, kiedy schodzi się w dół z górskiej wędrowki, słychać wszędzie kumkanie żab. To właśnie od niego wzięła się nazwa miasteczka – Žabljak, „siedlisko żab”.

W GÓRACH JAK NA MAZURACH

Obszar Durmitoru jest niemal o połowę większy (39 tys. ha) od naszych Tatr. Jest więc gdzie się wspinać, chodzić, wypoczywać, zwłaszcza że znajduje się tutaj 27 szczytów przekraczających 2200 m n.p.m. Niestety, w tym najwyższym masywie Gór Dynarskich brakuje schronisk. Jest tylko jedno, samoobsługowe w dolinie Škra. Na hałach, a raczej na wypiętrzonych powstałych w wyniku zjawisk krasowych, można spotkać trochę szałasów, przy których latem wypasają się owce. Niektóre przerobiono na proste schrony, więc można w nich przenoćować.

Większość ambitnych turystów za cel wędrowki po Durmitorze obiera najwyższy jego szczyt, Bobotov Kuk, wznoszący się na wysokość 2523 m n.p.m. Latem, przy ładnej pogodzie,

można zdobyć go w ciągu 5-6 godzin, wyruszając sprzed domku strażników parku, gdzie uiszcza się opłatę. Zdecydowanie gorzej chodzi się wiosną, kiedy człowiek zapada się w miękkim śniegu po kolana i wszystko natychmiast moknie.

O tej porze lepiej wybrać się nad jedno z osiemnastu jezior, by rozkoszować się ciszą. Największym z nich jest Crno Jezero, czyli Czarny Staw, nad którym majestatycznie wznosi się Medjed (2287 m n.p.m.). Latem woda w jeziorze jest na tyle ciepła, że można w niej kąpać. Podobno nigdzie na świecie nie ma tak wielu jezior na tak niewielkim obszarze górskim, na dodatek położonych powyżej 1500 metrów n.p.m. Mankamentem Durmitoru jest jednak... brak wody, a raczej brak potoków, które występują tu jedynie okresowo, wiosną. Latem wytopiona ze śniegów woda ginie w najróżniejszych szczelinach skał wapiennych.

Maj to okres kwitnienia krokusów, więc warto wybrać się na poszukiwanie polan w kolorze fioleto. Po drodze przechodzi

TROPEM KOZIC

Droga na Bobotov Kuk (2523 m n.p.m.), jeden z najwyższych szczytów Czarnogóry. W masywie Durmitor nie brakuje wąskich, ryzykownych ścieżek. Ta zaczyna się nad Czarnym Jeziorem.



FOT. MARIA GREGZ



WIELKI KANION EUROPY

Wawóz rzeki Tary długości 80 km i głębokości 1300 m jest największym kanionem w Europie i może konkurować z Wielkim Kanionem w Arizonie.

się przez bukowe, sosnowe i świerkowe zagajniki oraz kępy kosówki. Trasy nie są tak dobrze oznakowane jak w Polsce, ale jeśli wymalowanych na kamieniach znaków nie przysypie śnieg, wszędzie można jakoś trafić. Wszystkie czarnogórskie szlaki są czerwone, więc należy trochę uważać podczas wędrówek.

Kiedy śniegu w górach jest zbyt dużo, można wybrać się w niższe partie, na przykład na Ćurevac, skąd widać najgłębsze miejsce kanionu rzeki Tary. Po drodze przechodzi się przez ciemny las i małe, ubogie wioski, w których można spotkać drewniane sławojki ze zdobionymi drzwiami, a także hale z opuszczonymi pasterskimi szałasami. Stąd rozciągają się wspaniałe widoki na góry o niezwykłych kształtach. Widać kopki i poszarpane szczyty, skalne urwiska, pionowe ściany i kotły wypełnione śniegiem...

EUROPEJSKIE KOLORADO

Od północy i północnego wschodu Durmitor opływa Tara, uznawana za najdłuższą rzekę w Czarnogórze, z 82-kilometrowym kanionem, którego głębokość dochodzi do 1300 m. Jest to najgłębszy kanion Europy. Nazwę rzecze nadali Autariaci, iliryskie plemię żyjące w IV w. p.n.e. na terenie dzisiejszej Bośni. Płynąca tu woda ma kolor jasnoniebieski przechodzący w zieleń, a bystry nurt tworzy około 40 kaskad. Latem popularne są na Tarze spływy raftingowe.

Ze względu na czystość oraz jakość wody, a także unikalny system ekologiczny, rzekę uznano za rezerwat biosfery świata. Na stokach kanionu rosną rośliny, które występowały powszechnie jedynie w starożytności. Rosną tam również czarne sosny, a wśród nich okazy mające po 400 lat. Kanion Tary również znajduje się na liście UNESCO.

Obok miejscowości Djurdjevića w 1937 roku rozpoczęto budowę mostu o długości 366 m i wysokości od 168 do 172 m. Jego projektantem był Mijat Trojanović. Budowę ukończono w 1940 r., i jak na owe czasy był to najwyższy most w Europie. Jest to niesamowita, ażurowa konstrukcja o pięciu przęsłach, z których najdłuższe ma 116 m.

Z mostem wiąże się tragiczna historia rodziny Jaukovićów. Podczas II wojny światowej miejscowi partyzanci wysadzili najmniejsze

przešlo. Chodziło o odcięcie drogi przejazdu czetnikom (serbskiej formacji wojskowej współpracującej z Hitlerem) i Włochom. Akcją kierował inżynier Lazar Jauković, którego czetnicy schwytali i zamordowali dokładnie w tym samym miejscu, gdzie w połowie XIX w. Turcy zabili Joksima Jaukovicia, prapradziadka Lazara. W 1946 roku most został odbudowany, a dzielnemu partyzantowi postawiono pamiątkową tablicę.

ZACZAROWANY ŚWIAT ARCHANIOŁA

Idąc wzdłuż rzeki, dwa kilometry od mostu dochodzi się do niezwykłego miejsca. Stoi tam, w otoczeniu zieleni, niewielki XIII-wieczny, prawosławny klasztor z maleńką cerkwią poświęconą Archaniołowi Michałowi. Miejsce jest odludne, słychać tutaj tylko szum płynącej rzeki. W klasztorze mieszka jedna monaszka, która od kilku lat opiekuje się cerkwią i cudownym źródłem, do którego czasem przybywają pielgrzymi.

Mniszka chętnie rozmawia z przybyszami i za niewielką opłatą otwiera cerkiew. Jej kamienne mury zostały wzniesione kilka lat temu, bowiem niemal wszystko w tej okolicy było zburzone. Cerkiew odbudowano na starych fundamentach, zgodnie z dawną sztuką murowania.

Dość do-

SAMOTNY ARCHANIOŁ

Trzynastowieczna cerkiewka św. Michała Archanioła. Panujące tu surowe warunki życia sprawiają, że zakonnice szybko ją opuszczają.

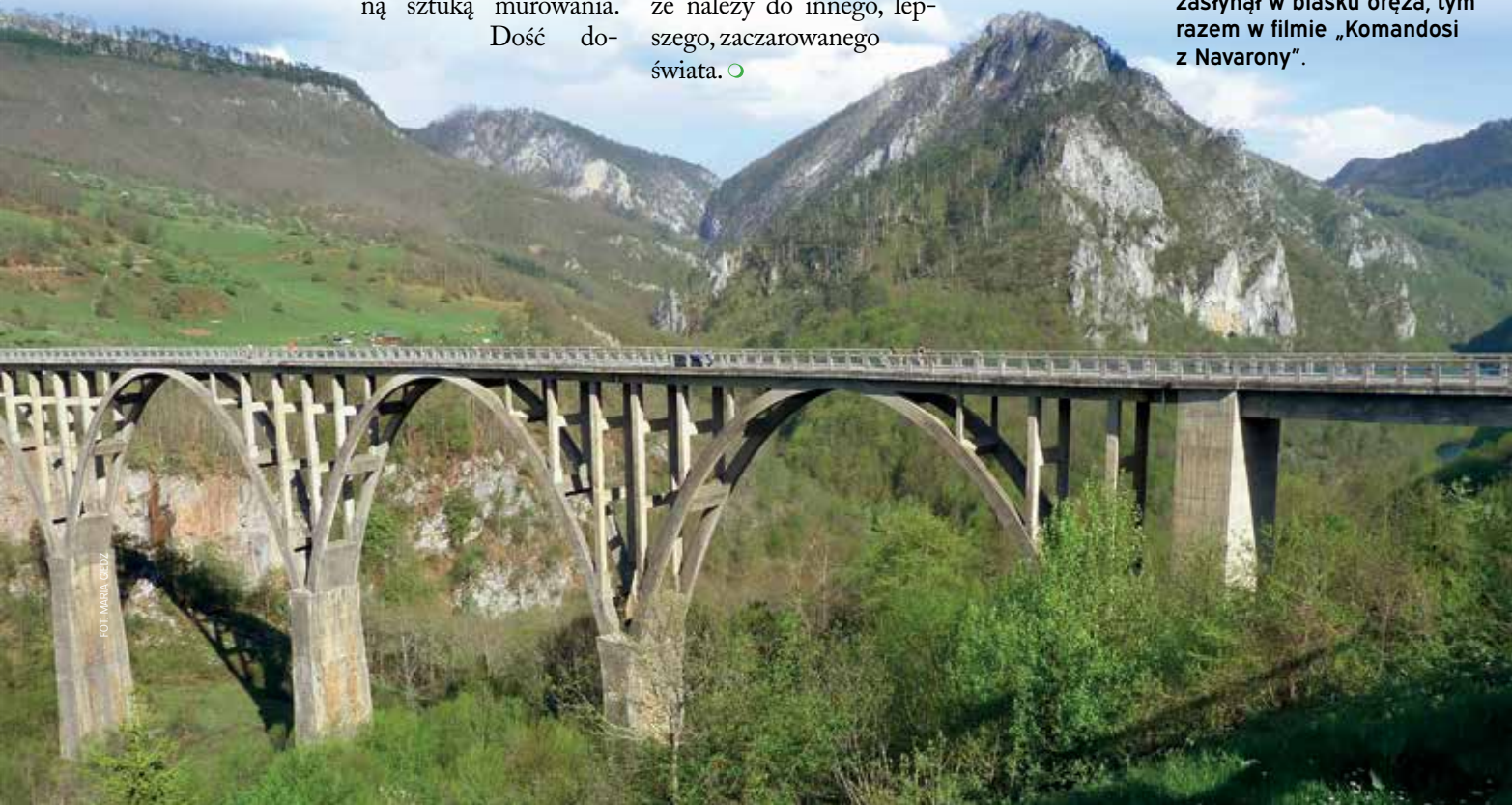


kładnie odtworzono wewnątrz świątyni, w tym jej ikonostas, pisany przez inną mniszkę z kolejnego, nieco odleglejszego klasztoru również nad Tarą. Młode dziewczyny, które chętnie zostałyby zakonnicami, boją się tego miejsca. Po dwóch, trzech miesiącach uciekają, bo życie jest tutaj zbyt trudne.

Czarnogórcy w większości przynależą do Cerkwi prawosławnej, a tutejsze urokliwe cerkiewki rozrzucone są po całym kraju. W okolicy Żabljaka znajduje się kilka monasterów, które warto odwiedzić. Są stare i można w nich znaleźć resztki malowideł ściennych. Ale cerkiew Archanioła Michała, usytuowana niemal nad samą rzeką, emanuje szczególną atmosferą. Odnosi się wrażenie, że należy do innego, lepszego, zaczarowanego świata. ◉

WOJENNY BOHATER

172-metrowej wysokości most w Djurdjevići został zbudowany tuż przed II wojną światową. Jugosłowiańscy partyzanci, walcząc z włoskim najeźdźcą, wysadzili jego centralne przęsło. Odbudowany po wojnie znów zastąpił w blasku oręża, tym razem w filmie „Komandosi z Navarony”.



Ta wyspa od dawna była moim marzeniem. Zacząłem zatem pisać z prośbą o wsparcie swojego planu. Pewnego dnia otrzymałem wiadomość... Firma Smyril Line z Wysp Owczych, obsługująca linię promową z Danii na Islandię, postanowiła wesprzeć ekspedycję poprzez zasponsorowanie tego długiego rejsu.

Marcin Jank

WYSPA ZBEDNYCH SZOS







FOT. SHUTTERS STOCK

Wyprawa moja i Jacka rozpoczęła się w Hirtshals – duńskiej miejscinie położonej na Półwyspie Jutlandzkim. Statek zapewniał bary, restauracje, sklep, studio fitness i spacer na ósmym pokładzie. Ale przy tak długiej podróży wszystko w końcu powzedniało. Czas mijał w kabinie na oglądaniu Sky News, czytaniu, studiowaniu map, spaniu, jedzeniu i zakradaniu się do baru po wrzątek. Kiedy bujało, nasze myśli kierowały się do wikingów, którzy przez Atlantyk przedzierali się do wybrzeży Islandii. Wysokie fale targają

potężnym promem, uświadamiając zagrożenia, którym czoła stawiali mężczyźni przodkowie Islandczyków.

Pewne urozmaicenie stanowiło obserwowanie wybrzeży Szetlandów, prom przepływa bowiem obok ich skalistych klifów. Na kilka godzin statek zawija też do Torshavn, stolicy Wysp Owczych. Mieścina jest ciekawa, a na jej „starówce” nie brakuje domów krytych trawą.

SZYBKI START I MOKRE HAMOWANIE

Szesnastego października, o dziewiętej rano przycumowaliśmy w Seyðisfjarður, jednej z większych miejscowości we wschodniej Islandii. Niemal każda kaszubska wioska ma jednak więcej mieszkańców niż ta miejscina. Każdy zna każdego, jest szkoła, małe kino, dwa sklepy, stacyjka benzynowa. Prom, który przytłacza wielkością wszystkie tutejsze budynki, stanowi od wiosny do jesieni jedną z większych atrakcji. Przywozi też turystów, którym lokalne panie, dziergające z wełny swetry, czapki i inne wdzianka, mogą sprzedawać dzieła swoich rąk.

Na Islandii zaczęliśmy bardzo sprawnie. Przed wyprawą czytałem, że autostop na tej półdzikiej wyspie to trudna zabawa. Tymcza-



FOT. MAREK JAK

JESIENNA PRZECHADZKA

Surowe arktyczne warunki panują tu już od połowy października. Śnieg jest wszechobecny, a temperatury dochodzą do minus trzynastu stopni C w ciągu dnia.



sem szybko złapaliśmy „stopa” do Egilsstaðir (2,5 tys. mieszkańców), stolicy wschodniej Islandii, a po następnej godzinie mknęliśmy już, z chyba najszybszym kierowcą na wyspie, w kierunku Akureyri. W zakręty wchodził z prędkością 120 km/godz., i to na ośnieżonej szosie. Emocje zatem były zagwarantowane, a poza tym cieszyliśmy się zaoszczędzonym czasem – już w południe byliśmy w miejscu, gdzie od drogi nr 1 odchodzi szlak w kierunku Herðubreið i Askji. Przy okazji wspólnej jazdy próbowaliśmy zagaic naszego dobrodzieja pytaniami o islandzki kryzys finansowy, co jednak spotkało się z jego ironicznym uśmieszkiem.

Ochoczo wzięliśmy się za szybki marsz, jako że droga była czarna (ziemia wulkaniczna), a nasze plany wielce ambitne. Po trzynastu kilometrach jak wielbłądy pośród pustyni na lewej flance poczuliśmy wodę i zabraliśmy się do obiadu. Napełniliśmy brzuchy i termosy. Potem znowu „cisnęliśmy” i zatrzymaliśmy się dopiero na 32. kilometrze. Pozwalało to snuć śmiałe plany na przyszłość. Ale plany planami...

W nocy dmuchnęło mrozem. Targało namiotem, posypywało śniegiem. I następnego dnia tempo osłabło. W końcu pojawił się większy klops. W poprzek drogi, najspokojniej

w świecie, płynęła całkiem szeroka rzeka – taka Brda, Wda czy Łeba. Z mapy wynikało, że nie powinna mieć więcej niż 15 km długości, tymczasem niespodzianka!

Zatem żmudna droga w górę rzeki. Po kamieniach, kępach polarnej roślinności, w coraz głębszym śniegu. Dotarliśmy do rozlewisk w jej górnym biegu. Jeziorka... dziesiątki jeziorek! Za nimi zastygła lava wulkanu Herðubreið. Zmęczyło nas to kluczenie wśród rozlewisk. Stańliśmy, rozłożyliśmy namiotek. I zaczęliśmy się bać, co przyniosą następne dni. Czy już się cofać, czy walczyć dalej? A jeśli trudności się spiętrzą i spóźnimy się na prom?

POBUDKA ZE SZRONEM W NOSIE

Dzięki nawigacji w końcu obeszlśmy ten rzeczno-jeziorny problem. Teraz kolejna przeszkoda – zastygłe pola lawy: poskręcane, wysokie na kilka czy kilkanaście metrów bazaltowe słupy, głazy, żebra. Po pewnym czasie mieliśmy już dookoła tylko czarny bazalt. Jakby jakiś zły duch nie chciał nas przepuścić dalej. W końcu przedarliśmy się do drogi. Tu jednak, po analizie mapy, doszliśmy do wniosku, że za chwilę znów

MIJSCJE WYKŁĘTE

Pola lawowe wygasłego wulkanu Herðubreið w północno-wschodniej Islandii są bardzo trudne do przebycia. W pobliżu znajduje się osada, do której w dawnych czasach zsyłano przestępców.

będziemy pokonywali kilometry dzikiego terenu, bo droga prowadzi na drugi brzeg kolejnej rzeki...

Po południu z mordowani dotarliśmy do bazy Herðubreiðarlindi, czynnej tylko latem. Stały tu małe, przytulne domki, żaden jednak nas nie chciał. Pocałowaliśmy klamki. Na szczęście w drugiej części dnia szło dobrze i pokonałszy jeszcze kilkanaście kilometrów. Ale wiedzieliśmy już, że Askja czy Kverkfjöll będą musiały poczekać na następną wyprawę, zapewne letnią, gdyż zabraknie nam na nie czasu.

Pokonałszy już ponad 100 km przez bezludną krainę. Cofać się nie było sensu. Uznaliśmy więc, że skupimy się na dotarciu do tamy Karahnjukar i szosy w kierunku Egilsstaðir. Naučení doświadczeniem zastanawialiśmy się tylko, czy aby na pewno na większych rzekach będą mosty?

Na rzekach Jökulsá á Fjöllum oraz Kreppa na szczęście się znalazły... Pojawił się jednak kolejny problem: temperatura. Minus cztery, minus sześć, minus dziesięć... Aż doszła do minus trzynastu, i taki mróz towarzyszył nam przez następne dni. Sztuką było poranne wkładanie wilgotnej skarpety do zlodowaciałego buta. Trzeba było podskoczyć na nodze, aby znalazła się wewnątrz skórza-

ło nieco ciepła i słupek termometru wędrował powyżej minus dziesięciu. Problem zaczynał się znowu po zachodzie – jak najszybciej rozbić obóz, wejść do śpiwora o komforcie minus jeden, a dodatkowo wpakować nogi i co tam się jeszcze... do plecaka. Wtedy robiło się naprawdę ciepło i sen trwał do około piątej, kiedy to człowiek budził się z oszronioną twarzą.

Nasze myśli wędrowały wówczas do polarników, zwłaszcza tych pierwszych, którzy siłą własnych mięśni torowali drogę ku biegunom, pokonywali tysiące kilometrów lodowych przestrzeni, nie licząc na jakąkolwiek pomoc. I do naszych przodków, zsyłanych na Syberię – to byli przecież ludzie nieprzywykli do takich warunków, a znosić musieli mrozy, nieludzką pracę oraz głód.

TERRA INCOGNITA I WIKING WYBAWCA

Korzystając z doświadczeń nabytych drugiego dnia wędrówki oraz tego, że mniejsze rzeki skąd już lód, coraz częściej wybieraliśmy marsz na zymut, co sprawiało nam niewątpliwą frajdę, gdyż wyłącznie sami decydowaliśmy o trasie wędrówki.

„A może przed nami tutaj nikogo jeszcze nie było?!”

Gdy do zapory Karahnjukar pozostało niewiele drogi, oczami wyobraźni widzieliśmy już pracowników elektrowni, którzy zapraszają nas do ciepłego pomieszczenia, ewentualnie transportują do wygodnej cywilizacji. Jakież było nasze zdziwienie, gdy okazało się, że zapora stoi zupełnie samotna. Żadnych zabudowań, żadnych słupów energetycznych, nic! Jezioro, zapora, na dole w głębokim wąwozie rzeka, a dookoła śnieg i góry. Okazało się, że Islandczycy wydrążyli ponad 50 km podziemnych tuneli, któ-

rymi transportują wodę do zamieszkałych okolic i dopiero tam zbudowali elektrownię. No, ale przynajmniej staliśmy na asfalcie.

Wędrowaliśmy od poranka. Obiad spożyliśmy na środku drogi. Jacek stwierdził, że protestujemy w ten sposób przeciwko marnotrawieniu pieniędzy islandzkich podatników na budowę dróg, z których nikt nie korzysta... O szesnastej,



ICE ART

...czy, jak kto woli, sztuka lodu. To sztuka, która przemija. Przy „życiu” utrzymuje ją tylko niska temperatura.

nej, czy raczej lodowej, skorupy. Wtedy pojawiało się ogromne pragnienie, żeby już wyjść na szlak i żeby zrobiło się ciepło! Ale najpierw, jeszcze przez godzinę, dreptanie w miejscu, aż woda z przerębła zamieni się we wrzątek, by wypełnić dwa termosy oraz kociołek z poranną kaszą i musli.

Z przerwą obiadową było mniej udręki, bo między jedenastą a piętnastą słońce dostarcza-

W SINĄ DAL

Arktyczne otoczenie góry
Snaefell. Jej wierzchołek,
położony na północny
wschód od największego
lodowca Islandii Vatnajökull,
króluje nad lodową równiną.

ZATRZYMANE W LODZIE

Zamarzająca woda pozostawiła na bazaltowych słupach lodowe stalaktyty.

wyczerpany prawie całodziennym marszem, rzuciłem plecak na drogę, ukląknęłam przy nim, położyłem głowę i zamknąłem oczy. Nagle słyszę warkot silnika, który jednak wcale mnie nie porusza – tyle razy przelatujące nad nami samoloty udawały auta. Trzymam głowę na plecaku, a tu Jaca krzyczy: – *Samoochóóóó!*

Nie musieliśmy spędzać kolejnej nocy w islandzkim interiorze. Nie musieliśmy dobijać

MIERZ SIŁY NA ISLANDIĘ

Po wyprawie zgodnie stwierdziliśmy, że wybierając się na Islandię, należy przede wszystkim dobrze oszacować siły – wiedzieć, na co nas stać, jakie plany jesteśmy w stanie zrealizować.

Warto też wiedzieć, że drogi, a praktycznie trakty, w islandzkim interiorze są – poza okresem lata – zamknięte dla ruchu. Wdzierając się do środka wyspy, jesteśmy skazani na własne siły



DO DOMU WRÓCIMY, W PIECU NAPALIMY

W samym środku islandzkiego interioru. To miejsce znajduje się nad rzeką Jökulsá á Fjöllum, 30 km na północ od lodowca Vatnajökull. Trasa wyprawy niekiedy oddalała się nawet o 150 km od ludzkich siedzib.

resztką sił do odległej o kolejne trzydzieści kilometrów miejscowości. O zdążenie na prom też byliśmy już spokojni. Pan Wiking był pierwszą osobą napotkaną przez nas po siedmiu dniach i dwustu dziesięciu kilometrach marszu. Pojawiła się też jeszcze jedna nagroda: po kilku kilometrach jazdy nasz islandzki wybawca wskazał ręką na dwa stada reniferów. Nadarzyła się więc okazja do sfotografowania arktycznej zwierzyny!

Jeszcze tego samego dnia dostaliśmy się do Egilsstaðir i zasnęliśmy spokojnym snem w przyjemnej temperaturze nieco poniżej zera.

Następnego dnia, w drodze do Seyðisfjörður, postanowiliśmy zdobyć jeszcze punkt widokowy Hagar i z wysokości prawie 700 metrów zachwyć się widokiem fiordu i mieściny na jego końcu.


i ekwipunek. Zimą, wiosną i jesienią nikogo się tu nie spotka. Konieczny jest oczywiście GPS – bez nawigacji w islandzkiej głuszy nie ma czego szukać.

Dużym problemem są rzeki, na mapie często niepozorne. Ich sieć jest zresztą niezwykle gęsta. W rzeczywistości nawet rzeka o długości 10 km może okazać się nie do przejścia. Wiele z nich płynie głębokimi kanionami i nie sposób dotrzeć do ich brzegów.

To miała być miła piesza wycieczka, połączona z kąpielą w ciepłym jeziorze wulkanu Askja i wizytą w lodowych jaskiniach Kverkfjöll. Okazała się ciężką walką z naturą, która nie wybacza żadnych niedociągnięć w przygotowaniach do wyprawy. Surowa polarna szkoła, ucząca pokory wobec sił przyrody. ○

DEMOKRACJA ZALEWA MALEDIWY

Elwira Szczecian

A photograph of two men sitting on a red motorcycle. The man in the driver's seat is wearing a patterned shirt and light blue jeans. The man in the passenger seat is wearing a green t-shirt and blue jeans. They are both wearing sunglasses. A yellow flag with a black scale of justice symbol is attached to the motorcycle. The background shows a concrete wall and a clear blue sky.

We wrześniu tego roku odbyła się pierwsza tura wyborów prezydenckich na Malediwach, archipelagu odwiedzanym rokrocznie przez milion turystów. Wygra je prawdopodobnie kandydat Malediwickiej Partii Demokratycznej, Mohamed Nasheed. Długa kampania wyborcza była gorąca i niepozbawiona brutalności. Na zdjęciu – zwolennicy demokratów z flagą swojej partii przedstawiającą symbol sprawiedliwości.

Mohamed Nasheed (na pierwszym planie w środku) już raz był prezydentem Malediwów. Zasłynął w 2009 roku, kiedy jedno z posiedzeń swojego gabinetu odbył cztery metry pod wodą. Zwrócił tym uwagę opinii publicznej, że wskutek podnoszenia się poziomu mórz i oceanów wyspom tym grozi zalanie. Ostry kryzys polityczny, zamieszki i bunt oddziałów policji spowodowały, że Nasheed w 2012 roku ustąpił ze stanowiska, określając te wydarzenia zamachem stanu dawnego reżimu. Przez następny rok walczył o powrót na scenę polityczną, biorąc czynny udział w demonstracjach ulicznych. Ryzykował wtedy nawet życiem, bo dwukrotnie próbowano go zabić.





Szczególnie mocno wspierały Nasheeda kobiety, wiedząc, że walczy też o ich prawa. Zwolenniczki byłego prezydenta często przeganiała policja. Kobiety były bite, mimo pokojowych form ich protestów.



Narodziny demokracji na Malediwach nastąpiły w 2008 roku, kiedy po 30 latach rządów absolutnych ustąpił Maumonn Abdul Gayoom, krytykowany za autokrację i nepotyzm. Po objęciu po raz pierwszy urzędu przez Nasheeda partia byłego dyktatora Gayooma skutecznie zablokowała politykę demokratycznych reform. Nic więc dziwnego, że świat z uwagą przyglądał się wyborom z 7 września 2013 r.

Na zdjęciu manifestacja przed siedzibą partii byłego dyktatora, z lewej – Asward, dziennikarz z niezależnej Raajje TV, który wkrótce potem zostanie napadnięty i ciężko pobity za swój raport o korupcji w partii Gayooma.



Aresztowanie jednego z demonstrantów. Do zatrzymań dochodziło codziennie, a aresztowani nie mieli nawet prawa do adwokata.



Male, stolica Malediwów – demonstracja dla upamiętnienia rocznicy zamachu stanu. Od tego dnia przez ponad rok zwolennicy Mohameda Nasheeda i jego partii codziennie organizowali pokojowe demonstracje, żądając ponownych wolnych wyborów.



Ostatnio sąd dla młodocianych skazał na karę 100 batów nastolatkę oskarżoną o pozamałżeńskie stosunki seksualne. Wyrok spotkał się z protestami, powszechną krytyką organizacji zajmujących się prawami człowieka, a petycję o niewykonywanie kary chłosty podpisało dwa miliony ludzi z całego świata.



Walczący o reelekcję Nasheed prowadził swoją kampanię od drzwi do drzwi. Codziennie przemierzał Male pieszo, rozmawiając z ludźmi i przyjmując zaproszenia do ich domów. Przekonywał, że jego wygrana to wolność dla tego raju na ziemi.

zdjęcia: Elwira Szczecian
postprodukcja: Davide Vannini

Fotoreportaż został zrealizowany dzięki pomocy firmy **Adventure Club**.

www.adventure-club.eu



Co takiego mają do ukrycia Rosjanie na jednej ze swoich największych arktycznych wysp, leżącej na granicy Europy i Azji, którą swego czasu uznawano za kontynent, będący pamiątką po legendarnej Arktydzie?

WYSPA TAJEMNIC

Stanowi ona przedłużenie Uralu, od którego oddziela ją wyspa Wajgacz oraz cieśnina Karskie Wrota, przez większą część roku pokryta grubym lodem. Nowa Ziemia wbija się w Ocean Arktyczny długim kamiennym klinem, mającym prawie tysiąc kilometrów długości, oddzielającym od siebie dwa polarne morza. Zachodnie brzegi Nowej Ziemi omywa zaliczane do wód europejskich cieplejsze Morze Barentsa, wschodnie szarpnięto sztormy surowego Morza Karskiego, stanowiącego część Azji.

Na mapach holenderskich, które powstały w epoce wielkich odkryć geograficznych, Nowa Ziemia pojawiła się dopiero pod koniec XVI w., chociaż rosyjscy Pomorcy z brzegów Morza Białego docierali do niej znacznie wcześniej na swoich drewnianych koczach, wyposażonych we wręgi przeciwlodowe, z pokładów których polowali na zwierzęta morskie. Przedstawiał ją atlas Orteliusza wydany w 1570 r. w Antwerpii pod nazwą „Theatrum orbis terrarum”. Miała w nim kształt dużego lądu, oddzielonego cieśniną morską od Skandynawii oraz

północno-zachodniej Syberii. Mapą tą posłużyli się pierwsi europejscy żeglarze, poszukujący północnej drogi morskiej do Chin, później określonej mianem Przejścia Północno-Wschodniego z Europy do Azji. Korzystał z niej m.in. Barents, który przez morza arktyczne chciał dotrzeć do bogatego królestwa Katakaj. Dwukrotnie zmuszały go do odwrotu lody nagromadzone przed Nową Ziemią. W trzeciej podróży zdołał dobić do jej brzegu. Tam jego statek został uszkodzony, żeglarze z Niderlandów musieli na niegościnniej wyspie przezimować. Barents w 1596 r. zmarł na zimowisku. Wszedł jednak do historii jako nowożytny odkrywca Nowej Ziemi, nie wiedząc zresztą, że jest ona dwuczłonowym archipelagiem, składającym się z Wyspy Północnej i Wyspy Południowej, rozdzielonych wąską cieśniną, noszącą nazwę Matoczek Szar. Pęknięcie wyspy w talii spowodowały ruchy tektoniczne w czasach, gdy Ziemia stygła. Cieśnina 100-kilometrowej długości ma brzegi wysokie i strome. Przypomina kanion, który w najwęższym miejscu ma 600 m szerokości.

Po raz pierwszy w historii Zaledwie sto lat temu jeden z największych polskich badaczy polarnych, Antoni Bolesław Dobrowolski, pisał, że Nowa Ziemia „nie należy bynajmniej do najlepiej znanych wysp” i uważał, że jej mapy, wydane w końcu XIX w. przez rosyjską Admiralicję, dalekie są od doskonałości, a po części stanowią twór fantazji. Pierwszym Europejczykiem, który w 1883 r. przeszedł w poprzek Wyspę Południową z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, był Polak Leon Hryniewicki, który otrzymał za to srebrny medal Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego wraz z orderem św. Włodzimierza. Przed nim Wyspę Północną badał urodzony w Warszawie August Cywółka, dzięki któremu z długich odcinków jej wybrzeża zniknęła prowizoryczna punktowana linia. Sławę przyniosło mu przejście w 1834 r. po przybrzeżnym lodzie wschodniego wybrzeża północnej wyspy, w czasie którego dokonał wielu odkryć geograficznych. Wprowadził na mapy kilka zatok oraz przyłądków, na których po raz pierwszy stanęła stopa badacza. Korzystając z jego obserwacji i pomiarów, opracowa-

miesięcznik

Konie i Rumaki

Dla ciekawych świata

no locje dużych połaci mórz Barentsa i Karskiego, z których korzystają do dziś żeglarze. Ale do brzegów Nowej Ziemi zapuszcza się niewiele jachtów. W tym roku po raz pierwszy w historii postanowiły tego spróbować dwie polskie łodzie żaglowe - jacht „Barlovento II” oraz jacht „Lady Dana 44”.

Przylądek Życzeń

Obie te jednostki brały udział w międzynarodowych regatach „Adventure Race 2013”, których celem był wyścig z Archangielska do Ziemi Franciszka Józefa. Metę wyznaczał 82. stopień szerokości geograficznej północnej. Pierwszy dopłynął do niej jacht „Lady Dana 44”, który początkowo nie zamierzał uczestniczyć w zawodach. Jego kapitan Ryszard Wojnowski postawił sobie bowiem za cel okrążenie pod polską banderą bieguna północnego. Po analizie sytuacji lodowej we Wrotach Karskich zdecydował się jednak opłynąć Nową Ziemię nie od strony południowej, lecz północnej. Dlatego dołączył do jachtów zmierzających do Ziemi Franciszka Józefa wzdłuż wschodnich brzegów Nowej Ziemi, w sporej od niej odległości. Zmienił też nieco swoje plany kapitan Maciej Sodkiewicz, dowodzący jachtem „Barlovento II”, który chciał w ramach regat odchylić się nieco od najkorzystniejszego kursu i dobić jako pierwszy do północnego cypla Nowej Ziemi, zwanego Przylądkiem Życzeń. Groziło mu to jednak wypadnięciem z wyścigu. Postanowił więc, iż uczyni to po rozwiązaniu regat w ramach własnego programu „Rosyjska Arktyka 2013”. Jego celem nadrzędnym było okrążenie po raz pierwszy w historii całej Nowej Ziemi. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej.

Areszt w Murmańsku

Polskie jachty rozstały się na Ziemi Franciszka Józefa. „Barlovento II” popłynął do Murmańska, gdzie miał zmienić załogę i pod dowództwem tego samego kapitana popłynąć jeszcze raz na północ, do granic wiecznego lodu. Potem zamierzał długim łukiem okrążyć Nową Ziemię od północy, by przez Morze Karskie wrócić na Morze Barentsa, pokonując Wrota Karskie od strony wschodniej. Tego także żaden polski jacht przedtem nie dokonał.



co miesiąc
w salonach
prasowych
i prenumeracie

i koni

www.konieirumaki.pl

Tymczasem w Murmańsku wszystkie żaglówki biorące udział w regatach, włącznie z rosyjskim flagowym jachtem „Piotr I”, zostały zatrzymane pod zarzutem naruszenia zasad pływania na rosyjskich wodach przybrzeżnych i otwartych wodach terytorialnych, nad którymi Rosja sprawuje kontrolę. Kapitanów jachtów obłożono karą pieniężną. Jachty zwolniono po kilku dniach, zabraniając im powtórnej żeglugi na Ziemię Franciszka Józefa. Do domu zawróciły duńska „Anne Margaretha” oraz cumująca w pobliżu niemiecka jednostka „Dagmar Aaen”.

Kto był bardziej zdziwiony Jacht „Barlovento II” po żmudnych pertraktacjach dostał zgodę na rejs w

stronę Nowej Ziemi wzdłuż północnych brzegów Półwyspu Kolskiego w wąskim pasie przybrzeżnych 12 mil morskich, którego nie wolno mu było przekroczyć. Nie mógł też bez zgody służb rosyjskich dobić do brzegu. Zamiast przez otwarte morze w kierunku północno-wschodnim posuwał się na wschód, nękany przez okrety straży przybrzeżnej. Nawet w nocy sprawdzano dokumenty jachtu i załogi, dokonywano oględzin jego wnętrza. 5 sierpnia minął półwysep Kanin. 7 sierpnia przed północą wpłynął na wymarzone Morze Karskie przez wąską cieśninę Jugorskij Szar, wciśniętą między stały ląd na granicy Europy i Azji a wyspę Wajgacz, sąsiadującą od północy z Wrotami Karskimi. Tam miał niespodziewane spotkanie z motorowymi łodziami rybaków Nieńców, z wyglądu przypomina-



jących Eskimosów. Wyglądało na to, że pierwszy raz w życiu zobaczyli na swoich wodach jacht żaglowy płynący pod nieznaną im banderą. Obie strony były zaskoczone w równym stopniu. Nieicy na widok wyciągniętych przez polską załogę aparatów fotograficznych zawrócili dzioby swoich łodzi i w panice umknęli, by złożyć władzom raport o spotkaniu zagranicznych szpiegów.

Wokół wyspy Wajgacz

Przez dwa dni jacht „Barlovento II” czekał w jednej z zatok wyspy Wajgacz na zmianę decyzji rosyjskiej straży przybrzeżnej. Nie zabroniono mu rejsu dookoła Nowej Ziemi w pasie 12 mil morskich, ale poinformowano, że większa jej część po obu stronach cieśniny Matoczkin Szar pokryta jest zamkniętym dla żeglugi obszarem, wychodzącym w morze na odległość ponad 20 mil, co zmuszało jacht do wyjścia z pasa wód przybrzeżnych, w którym wolno mu było pływać. Na jachcie kończyła się woda pitna. Nie sposób było uzupełnić jej zapasów bez wyjścia na ląd. Należało zatem odłożyć na przyszłość spełnienie największego marzenia.

Kapitan Sodkiewicz spędził w Arktyce 5 tygodni. Dotarł do granicy wiecz-

nych lodów, ustanawiając nowy polski rekord zasięgu pływania na północ. Jako pierwszy okrążył wyspę Wajgacz i przeszedł pod żaglami przez obie cieśniny łączące Morze Barentsa z Morzem Karskim. Otworzył nowy rozdział w historii polskiego pływania po morzach polarnych. Tylko Nowa Ziemia okazała się dla niego niegościnna.

Dalej niż na Końcu Ziemi

Więcej szczęścia miał jacht „Lady Dana 44”, który z Ziemi Franciszka Józefa popłynął prosto na Nową Ziemię, nie zawijając do Murmańska. Stanął w zacisznej zatoczce Wyspy Północnej, zwanej Russkaja Gawań, u stóp stromego zaśnieżonego klifu, obok fińskiego jachtu „Sarema”, kierującego się podobnie jak nasi żeglarze w stronę Cieśniny Beringa. Nie było tu punktu granicznego ani kontroli straży przybrzeżnej. Na szczycie klifu znajdowała się opuszczona po rozpadzie ZSRR baza, nad którą górowała wielka antena radarowa. Niestety, plątał się koło niej biały niedźwiedź. Polacy i Finowie czekali kilka dni na wiadomość o ustąpieniu lodów we wschodniej części Morza Karskiego oraz w Cieśninie Wilkického, przez którą musieli przepłynąć na kolejne syberyjskie Morze Łaptiewów.

Ponieważ prognozy meteorologiczne były niekorzystne, ruszyli w poprzek Morza Karskiego do Portu Dikson, leżącego u ujścia Jeniseju w azjatyckiej części Rosji. Tam utknęli ponownie. Mogli jednak zameldować, że „Lady Dana 44” wpięła w swój kilwater 4000 mil morskich i jako pierwsza w historii polska jednostka morska dobiła do brzegów Nowej Ziemi, pokonała Morze Karskie i dotarła do półwyspu Tajmyr. Ominęła leżący na zachód od niego półwysep Jamał, którego nazwa w języku Nieńców, dawniej zwanych Samojedami, oznacza Koniec Ziemi. Taką nazwę nosi jeden z rosyjskich lodołamaczy atomowych pływających po Morzu Łaptiewów. Można było liczyć, że w ostateczności on odblokuje lody w Cieśninie Wilkického.

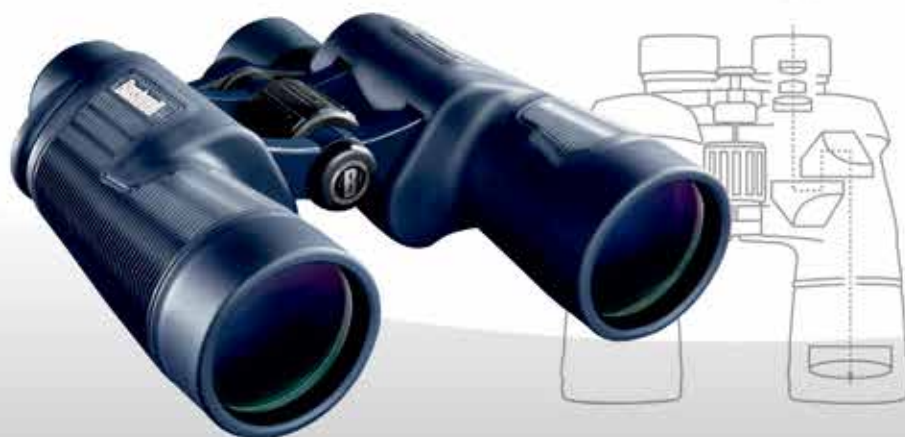
Mapa, która wyjaśnia wszystko 23 sierpnia „Lady Dana 44” opuściła wreszcie Port Dikson. 26 sierpnia wpłynęła na Morze Łaptiewów. Jacht „Barlovento II” wracał przez Kanał Białomorski do kraju. Nowa Ziemia pozostała ze swymi tajemnicami. Wystarczy rzut oka na mapę wybuchów jądrowych na jej obydwu głównych wyspach, aby zrozumieć, dlaczego tak trudno się na nią dostać. Przez prawie 40 lat stanowiła centralny poligon jądrowy ZSRR, obejmujący po obu stronach cieśniny Matoczkin Szar powierzchnię równą Holandii. Doświadczenia z bronią atomową i wodorową prowadzono tu na ziemi, pod ziemią, w powietrzu, na wodzie i pod wodą, detonując w sumie 135 bomb. Wokół Nowej Ziemi zatopiono 7 reaktorów atomowych i 3200 kontenerów z odpadami nuklearnymi. I nie jest już dziś tajemnicą, że stanowi ona, wraz z częścią wód przybrzeżnych po obu stronach Wyspy Północnej i Wyspy Południowej, największe składowisko odpadów radioaktywnych na świecie. Może zatem warto omijać ją z daleka?

PS Kiedy oddawałem ten felieton do druku, „Lady Dana 44” miała za sobą cztery arktyczne morza: Białe, Barentsa, Karskie i Łaptiewów. Podążała do portu Pevek na Morzu Wschodniosyberyjskim. Tak daleko na wschód nie dotarł jeszcze Północną Drogą Morską żaden polski jacht ani statek. ◉

Lornetki Bushnell®

dla podróżników,
żeglarzy
i miłośników przyrody

**WATER
PROOF**



Linia Bushnell H2O to całkowicie wodoodporne lornetki, których obudowy pokryto gumowym pancerzem Soft Texture Grip gwarantującym świetny chwyt oraz ochronę przed uderzeniami i upadkami z niewielkiej wysokości. Propozycja dla miłośników sportów wodnych oraz wszystkich pozostałych użytkowników, którzy chcą korzystać z lornetki w każdych warunkach, bez obawy o zamoczenie, zapylenie lub zaparowanie jej wnętrza.

Pełna oferta lornetek Bushnell
na www.militaria.pl



Militaria.pl
Shooting & Outdoor

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • POZNAŃ STARTY BROWAR
SZCZECIN AL. PIASTÓW 53 • WROCŁAW OŁAWSKA 16 • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49

ZAMÓWIENIA: 71 347 47 47 • INTERNET: www.militaria.pl

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróżowania. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Kuchnia brazylijska słynie z ogromnego zróżnicowania ze względu na bogactwo wpływów z Europy, Ameryki oraz Afryki. Przykładem jest acarajé, danie spożywane w północno-wschodnim regionie Bahia, głównie na ulicach Salvadoru. Potrawa przybyła z Nigerii, gdzie nadal spożywa się ją na śniadanie z kukurydzą i papką z prosa. Acarajé stanowi istotny dodatek do afrobrazylijskich tradycji religijnych candomblé, jako rytualna potrawa bogini wiatrów, huraganów i burz. W Brazylii podaje się je z pastą vatapa.



dla 4 osób / czas przygotowania: 1 godzina

PRZEPIS NADESŁAŁA PANI:
Magdalena Malec
z Kielc

ACARAJÉ Z VATAPÁ



FOT. JULIA MOJAL-COPIEWA

Podawać dodatkowo z:

smażonymi krewetkami / salsą z pomidorów, awokado i szalotki (z oliwą, solą i pieprzem) / ze startym serem gouda

SKŁADNIKI DO ACARAJÉ:

- 2 puszki (ok. 800 g) białej fasoli w zalewie
- 2 szklanki mąki kukurydzianej
- 1 szklanka mleka kokosowego
- 1 łyżka świeżej lub suszonej kolendry albo pietruszki
- 1 łyżka drobno pokrojonego chilli
- 1 szklanka drobno pokrojonej cebuli (szalotki lub zwykłej)
- sól, pieprz
- 0,5 litra oleju do smażenia

SKŁADNIKI DO SOSU VATAPÁ

- 3 kromki jasnego chleba
- 1 szklanka mleka kokosowego
- 3/4 szklanki solonych orzechów nerkowca
- 3/4 szklanki solonych orzeszków ziemnych
- 2 szklanki bulionu rybnego lub warzywnego
- 3 ząbki czosnku
- 1 limonka
- 1 duża cebula
- 1 małe chilli
- 2 łyżki oleju do smażenia

Acarajé:

Fasolę oczyścić z zalewy i zmiksować na gładką masę z pozostałymi składnikami. Łyżką formować wręczonowate bułeczki. Smażyć na głębokim oleju z dwóch stron, aż do zrumienienia.

Acarajé należy przekroić wzdłuż, posmarować vatapą i do środka dodać, wedle uznania, inne składniki.

Vatapa:

Kromki chleba porwać na małe kawałki i moczyć przez 10 minut w mleku kokosowym.

Orzeszki ziemne i nerkowca drobno zmielić. Zmiksować cebulę, czosnek i chilli. Następnie podsmażyć zmiksowane składniki na oleju, dodać zmielone orzechy i jeszcze przez chwilę smażyć do uzyskania złotego koloru. Dodać wyciśnięty sok z limonki. Następnie dolewać powoli wywaru i gotować, mieszając, aż do uzyskania gładkiej masy.

Grzegorz Miedziński

FREERIDE U PODNÓŻA GROSSGLOCKNER

Jazda poza trasami zdobywa coraz większe rzesze entuzjastów. Jeśli pragniesz doświadczyć tej wolności, a przy tym wypocząć w spokojnej atmosferze, austriackie Heiligenblut jest właśnie dla Ciebie.

NA FREERIDZIE

Heiligenblut poznało już wielu Polaków, m.in. dzięki organizowanym tam zawodom Polish Freeride Open czy obozom Freeride Camp.



WWW.GROSSGLOCKNER.PL

jętności wybrać region, w którym wykonamy pierwsze szusy. Niestety, w Polsce oficjalnych i legalnie udostępnionych do freeride'u obszarów praktycznie nie ma, dlatego większość z nas zmuszona jest wyjechać np. Alpy.

Idealnym ośrodkiem do spróbowania jazdy poza trasami jest Heiligenblut am Grossglockner w Karyntii. To mała góraska miejscowość położona w sercu Parku Narodowego Hohe Tauern, leżąca u podnóża Grossglockner. Fascynujący krajobraz górski podkreślany trzytysięcznikami, spokój (zimą w Heiligenblut kończy się droga) i nowoczesna infrastruktura spełnią oczekiwania niejednego fana białego szaleństwa. Trasy usytuowane są powyżej górnej granicy lasu. Różnica poziomów wynosi blisko 1800 m (najwyższy punkt ośrodka – 2989 m n.p.m., najniższy – 1204 m n.p.m.). Daje to gwarancję dobrych warunków śnieżnych oraz duże obszary pozbawione lasu – co dla wielu freeriderów jest bardzo ważne lub wręcz kluczowe.

Freeride to obecnie najszybciej rozwijającą się odmianą narciarstwa. Praktycznie każda firma produkująca sprzęt narciarski ma w swojej ofercie modele do jazdy w głębokim puchu, skoków czy skitouringu. Jednak rozpoczynając swoją przygodę z jazdą poza trasami, pamiętajmy, że oprócz doboru odpowiednich nart, butów, odzieży czy akcesoriów należy na miarę swoich możliwości i umie-

**ERGO
HESTIA**

Zapewniamy
Klientom poczucie
bezpieczeństwa

www.ergohestia.pl

www.poznajswiat.pl

Foto: J. J. J. J.

Ośrodek jest świetną bazą wypadową do wielu wysokogórskich wycieczek skitour'owych. Ma liczne warianty zjazdów prowadzących do doliny, skąd powrót do miejscowości możliwy jest przy pomocy skibusów. Tereny narciarskie wyposażone są w 12 wyciągów (4 gondolki, jeden czteroosobowy krzeselkowy, 6 dwuosobowych orczyków i jeden wyciąg dla początkujących). 55 km perfekcyjnie przygotowanych tras dla narciarzy o różnych umiejętnościach (9 niebieskich, 40 czerwonych, 6 czarnych). Mając do dyspozycji wyciągi osiągające wysokość 2900 m n.p.m., nie jest trudno przekroczyć granicę 3000 m n.p.m. i szusować wiele minut w dolinę – 25 kilometrów kwadratowych terenów freeride'owych mówi samo za siebie. Na miejscu można skorzystać z usług doświadczonych przewodników, którzy przedstawią podstawowe zasady bezpieczeństwa, przeprowadzą krótkie szkolenie lawinowe, a przede wszystkim pomogą znaleźć najlepsze zjazdy! Po całym dniu szusowania możemy spróbować regionalnej kuchni lub... wspinaczki lodowej. Tu nie sposób się nudzić.

Freeride dostarcza niesamowitych wrażeń, ale jest obarczony ryzykiem. Należy przestrzegać żelaznych zasad:

- nigdy nie jedź poza trasami samotnie
- nigdy nie wybieraj się poza trasę bez sprzętu lawinowego (detektor, sonda, łopatką)
- regularnie trenuj używanie sprzętu lawinowego w trakcie sezonu
- sprawdzaj działanie detektora przed każdym wyjściem w trasę
- sprawdzaj stopień zagrożenia lawinowego i aktualną prognozę pogody
- unikaj jazdy zaraz po intensywnych opadach śniegu
- uważaj, jeżeli masz w zasięgu wzroku lawiniska lub widzialesz schodzące lawiny
- uważaj, jeżeli zaobserwowałeś pęknięcia w pokrywie śnieżnej
- bądź wyczulony na odgłosy dochodzące z pokrywy śnieżnej
- zwracaj uwagę na miejsca, gdzie wiatr odłożył dużo śniegu
- nie jedź po obcych śladach, jeżeli nie znasz dobrze terenu
- pamiętaj, że lawiny mogą zejść także na stokach, po których już ktoś wcześniej przejechał
- jedź po śladach swoich przyjaciół – zachowaj bezpieczny dystans minimum 30 metrów
- jeżeli jeździsz w grupie, zatrzymujcie się wyłącznie w bezpiecznych miejscach
- zwracaj uwagę na innych narciarzy i snowboardzistów
- nie przecinaj drogi innej grupie narciarzy/snowboardzistów albo trasy narciarskiej



KURORT WITA

Atrakcyjna oferta pobytowa i przyjazna atmosfera są, oprócz warunków narciarskich, ważnym czynnikiem, który sprawia, że czas spędzony pod Grossglockner zapamiętamy do końca życia.

Zima w górach

Góry to miejsce, w którym zmiany pogodowe następują bardzo szybko. Czasami są trudne do przewidzenia - szczególnie późną jesienią czy zimą. Dlatego wybierając się na turystyczne szlaki w Polsce czy lodowce w Alpach, musimy być odpowiednio przygotowani w odzież i sprzęt. Poniżej prezentujemy różne propozycje wiodących marek outdoorowych.

Cena: ok. 850 zł
www.adidas.pl/shop



MRÓZ JEJ NIESTRASZNY ADIDAS TERREX NDOSPHERE

Wkraczając w krainę lodu i mrozu, potrzebujemy odzieży izolującej, która zarówno ochroni przed wyziębieniem, jak i zapewni odpowiednią swobodę ruchów przy aktywności fizycznej. Nowa kurtka Terrex Ndosphere spełnia powyższe wymogi dzięki połączeniu izolacji PrimaLoft® (80 g/m²), która utrzymuje swoje właściwości termiczne nawet po całkowitym przemoczeniu, oraz unikalnej wielopanelowej konstrukcji ze wstawkami zewnętrznej elastycznej tkaniny. Zastosowano je na całej szerokości pleców i po bokach kurtki. Podszywka wykonana na bazie materiału Cocona® z przetworzonych łusek orzecha kokosowego rozprasa wilgoć i odprowadza ją z dala od ciała użytkownika, co umożliwia utrzymanie komfortu i optymalnego mikroklimatu ciała.

Lekkie, zbudowane w oparciu o aluminium 6013, kijki trekkingowe z systemem antishock i korkowym chwyttem umożliwią komfortowe podróżowanie. Widiowy grot jest niezwykle wytrzymały, co szczególnie docenimy na kamienistych szlakach.

OBOWIĄZKOWY EKWIPUNEK FIZAN TIERRA AS

Cena: ok. 150 zł
www.greenland.com.pl



LEKKIE I WYTRZYMAŁE BLACK DIAMOND CONTACT STRAP

Bardzo wytrzymałe, lekkie raki zaopatrzone w podkładki przeciwśnieżne ABS oraz silikonowe paski. Dzięki koszykowemu systemowi mocowania do obuwia raki montuje się niezwykle szybko i precyzyjnie. CONTACT to bardzo uniwersalne raki, sprawdzą się zarówno na lodowcu w Alpach, jak i na tatrzańskich szlakach.



Cena: ok. 380 zł
www.eu.blackdiamondequipment.com

ZESTAW RATOWNICZY PETZL CREVASSE

Zestaw ratunkowy „CREVASSE” zawiera wszystko, co jest potrzebne do założenia układu do wyciągania lub wyjścia po linie w razie upadku do szczeliny lodowcowej: jeden bardzo wydajny, ultralekki bloczek z blokadą MICRO TRAXION, dwa karabinki OK SCREW LOCK, jeden TIBLOC, jeden bloczek PARTNER, jedna taśma ST'ANNEAU 120 cm. Całość skompletowana w estetycznym, wygodnym opakowaniu typu piórnik. Niezastąpiony w turystyce lodowcowej. Kompatybilny z linami o średnicy 8-11 mm. Masa zestawu: 370 g.



Cena: ok. 470 zł
www.petzl.pl

Cena: ok. 1950 zł
www.himalsport.com.pl



NA EKSTREMALNE WARUNKI
SCARPA PHANTOM GUIDE

To propozycja dla profesjonalistów. Cholewka wykonana z 3 materiałów: K-TECH (materiał o dużej wytrzymałości z domieszką kevlaru), S-TECH (elastyczny materiał soft-shell nieprzepuszczający wiatru i wody) oraz membrany OUTDRY. Botek wewnętrzny stanowi oddychający materiał oraz primaloft. Podeszwa z Vibram Total Traction. Waga 950 g (rozmiar 42).

Cena: ok. 380 zł
www.eu.blackdiamondequipment.com



NIEZAWODNY
BLACK DIAMOND RAVEN W/GRIP

Uniwersalny czekan do turystyki zimowej. Dzięki profilowanej ręczce oraz lonży może być również wykorzystywany do wspinaczki. Bardzo wytrzymała głowica wykonana z kutej hartowanej stali, lekkie anodowane stylisko zakończone ostrym grotem. Szeroka łopatka pozwala na efektywne wykuwanie stopni.

BEZKOMPROMISOWE
GRIVEL G14

Raki automatyczne (nazwa potoczna z uwagi na sposób montażu) ze stali chromowanej o wadze 1095 g. Przeznaczone do wspinaczki lodowej. Raki te mają możliwość modyfikacji zębów atakujących na wersję mono-point (tuleje w komplecie) oraz możliwość regulacji długości. W zestawie również podkładki przeciwśnieżne i osłona łącznika.



Cena: ok. 830 zł
www.himalsport.com.pl

Lokalizator GPS to proste w obsłudze urządzenie, które wskazuje drogę powrotną (kierunek i odległość) do wybranego punktu. Wystarczy jedno kliknięcie w miejscu, do którego chcemy wrócić - może to być hotel w obcym mieście lub namiot w środku dżungli - a Backtrack zaprowadzi nas tam jak po sznurku. Jeśli akurat nie podróżujemy, urządzenie pomoże nam znaleźć nasz samochód na parkingu pod hipermarketem. Zapamiętuje do 5 lokalizacji jednocześnie. Wskazuje również temperaturę, wysokość oraz długość i szerokość geograficzną. Nie wymaga instalacji map. Możliwość podłączenia do komputera i odczytania danych przebytej trasy. Bushnell Backtrack D-Tour dostępny jest w sieci salonów firmowych Militaria.pl

JUŻ NIGDY SIĘ
NIE ZGUBISZ
LOKALIZATOR
GPS BUSHNELL
BACKTRACK
D-TOUR



Cena: ok. 500 zł
www.militaria.pl

NAJWYŻSZA JAKOŚĆ
JÄLLRÄVEN ECO-TRAIL

To lekka (495 g w rozmiarze M) trzywarstwowa kurtka mająca wszystkie właściwości potrzebne do swobodnego i wygodnego poruszania się w zmiennych warunkach atmosferycznych. Niezawierająca fluorowęglanów tkanina Eco-Shell jest wykonana z powtórnie przetworzonego i nadającego się do ponownego przetworzenia poliestru.

Dzięki dopasowanemu krojowi kurtka nie utrudnia ruchów i nie marszczy się w niepożądanych miejscach.

Obie kieszenie boczne są łatwo dostępne nawet podczas noszenia plecaka z pasem biodrowym lub uprząży.



Cena: ok. 1450 zł
www.hbmm.pl

Test w niebie

Tytuł może zbyt podniosły, ale będąc na najwyższym masywie górskim w Europie i testując produkty w otoczeniu i na czterotysięcznikach, nie mogłem napisać inaczej. Pierwsze dni września spędziłem na Monte Rosa, gdzie poddałem wnikliwym i ciężkim testom następujące produkty: kurtkę Columbia Powerfly Down, kurtkę Columbia Titanium oraz aparat fotograficzny Olympus Stylus TG-2.



COLUMBIA POWERFLY / COLUMBIA PEAK 2 PEAK

Columbia Powerfly to niezwykle lekka i bardzo ciepła puchowa kurtka z odbijającą ciepło ciała podszewką **Omni-Heat Reflective®**. Technologia ta pomaga regulować temperaturę poprzez odbijanie i zatrzymywanie ciepła produkowanego przez organizm, umożliwiając jednocześnie odprowadzanie wilgoci, co pozwala zachować poczucie komfortu. Inspiracją przy tworzeniu materiałów Thermal Reflective były niezwykle właściwości ratunkowych koców termicznych. Ta innowacyjna technologia zapewnia większą o 20% izolację cieplną przy zachowaniu wysokiego poziomu przepuszczalności powietrza i wilgoci. Jest to możliwe dzięki podszewce mającej „matrycę” z aluminiowych kropek odbijających ciepło. Kiedy jest zimno, kropki odbijają ciepło ciała, podtrzymując jego temperaturę. Natomiast kiedy organizm jest rozgrzany i zaczyna się pocić, kropki, dzięki wysokiemu poziomowi

Cała akcja górską odbywała się od wysokości 3200 m do 4500 m n.p.m. Poruszałem się po lodowcu - w większości nasłonecznionym. Jednak na przełęczach, szczytach (w tym 7 czterotysięczników) lub w miejscach zacienionych wysokogórskie warunki dawały o sobie znać. Zimny wiatr podrywający z podłoża miliony drobinek śniegu mógł skutecznie wychłodzić organizm. Ponadto rozpoczynanie akcji górskiej o 5 rano pozwalało odczuć jeszcze chłód nocy na lodowcu. Dodając do tego nocleg na wysokości blisko 4200 m n.p.m., można śmiało stwierdzić, że warunki tego testu były niezwykle zróżnicowane.

przewodzenia ciepła przez aluminium, rozpraszają jego nadmiar. Jednocześnie podszewka umożliwia cyrkulację powietrza i odprowadzanie wilgoci na zewnątrz. Tym samym podszewka działa jak termostat regulujący temperaturę. Ocieplenie stanowi gęsi puch o sprężystości 800 m²/N. Kurtka idealnie sprawdziła się jako warstwa ocieplająca pod kurtką z membraną. Odczuwalna temperatura jednego z poranków na poziomie -20 stopni C nie stanowiła problemu. Jedyną chyba zarzut to brak kaptura.

Wspomnianą zewnętrzną kurtką była **Columbia Peak 2 Peak** (z serii Titanium) z systemem Omni-Dry. Umożliwia on cyrkulację powietrza przez tkaninę, co pomaga regulować warunki panujące wewnątrz ubrania i zapobiegać gromadzeniu się w nim nadmiaru wilgoci przy jednoczesnym utrzymaniu ochrony przed wiatrem. Kurtki używałem, m.in. wykonując zdjęcia z 2 szczytów (ok. 10 min. bez większego ruchu) czy podczas podejścia na jeden z czterotysięczników przy dość mocnym wietrze i lekkim zachmurzeniu. Mimo dużego wysiłku kurtka świetnie oddychała. Ponadto, dzięki swojej lekkości (ok. 450 g) i krojowi, w żaden sposób nie krępuje ruchów (mimo założonej uprząży, plecaka, oraz liny). Duży, regulowany kaptur można było nałożyć na kask, dzięki czemu zapinając do końca kurtkę, szyja, żuchwa i usta

były chronione przed wiatrem. Wysoko umieszczone kieszenie dawały pełną funkcjonalność nawet przy założeniu uprząży na kurtkę. Wentylowane pachy (zamek błyskawiczny) dodawały „przewiewności” podczas wzmożonego wysiłku, jednak



skorzystałem z tej opcji tylko dwukrotnie. W panujących warunkach nie było możliwości sprawdzenia wodoodporności kurtki – jednak dobrej jakości materiał, podgumowane szwy i ciasne zamki sprawiają wrażenie trwałych i skutecznych w walce z deszczem.

Podsumowując, mogę śmiało stwierdzić, że obydwie kurtki są bardzo dobrze wykonane. Użyte w nich technologie sprawdzają się w dedykowanym im środowisku. Sprostały ciężkim warunkom, jakie stawiają wysokie góry.

Cena:

- **Powerfly** ok. 800 zł
 - **Peak 2 Peak** ok. 1300 zł
- www.columbia.com

OLYMPUS STYLUS TG-2

Dokonując wyboru aparatu na górską wyprawę, zwracałem uwagę przede wszystkim na: trwałość wykonania, dobrą optykę przy zachowaniu niewielkich rozmiarów i

– czy to podczas postoju, czy z jadącego auta. Jakość zdjęć była w perspektywie górskiej aktywności obiecująca. To zapewne zasługa wbudowanych technologii iHS - 12 MP sensora BSI CMOS i procesora obrazu TruePic VI, dostarczających więcej mocy zaawansowanym funkcjom. Niezwykle jasny obiektyw o maksymalnej przysto-

dalszemu prawidłowemu działaniu. Przydatną opcją w takich warunkach pracy było ustawienie wygaszania ekranu po 10 sek. – oszczędzało to skutecznie pobór mocy, a tym samym zużycie baterii. Przydatną funkcją TG-2 jest wbudowany GPS i e-kompas. Za każdym razem, gdy zrobimy zdjęcie czy nakręcimy film, urządzenia



FOT. MARCIN NODZAK

TG-2 jest nie tylko wytrzymały, ale ma świetną optykę. Widok z Zumsteinspitze (4563 m n.p.m.) na najwyższej położone w Europie schronisko Regina Margherita (4554 m n.p.m.).



FOT. MARCIN NODZAK

żywność baterii. Wybór padł na Olympus-a TG-2. Jak podaje producent, to wodoszczelny, odporny na upadek, mróz i zgniatanie aparat – jest praktycznie niezniszczalny, a do tego niezawodny. Mroźne i ośnieżone alpejskie szczyty miały to zweryfikować. Pierwsze fotki wykonałem już po drodze

podczas pracy 3 tys. metrów poniżej i przy wyższych temperaturach. Jego trwałość też się nieraz przydała. Wykonując zdjęcie w dość ekstremalnych warunkach (stojąc na grani, wsparty o czekan), aparat kilka razy uderzył o skałę lub wpadł do śniegu. To w żaden sposób nie przeszkodziło jego

zapamiętują naszą lokalizację. Kompatybilność z kartą FlashAir™ pozwoliła nam bezprzewodowo przesać zapisane pliki na portale społecznościowe za pośrednictwem smartfona. No i na koniec bateria – po prostu rewelacja. Pięć dni działania w wysokogórskich warunkach i przy wykonaniu ponad 500 zdjęć (i ich przeglądaniu). To wynik praktycznie niespotykany.

Zatem jeśli szukasz małego, niezwykle odpornego na czynniki zewnętrzne aparatu, którego bateria pozwala na wiele godzin działania, wybór jest prosty – Olympus Stylus TG-2.

Cena: ok. 1500 zł
www.olympus.pl

Grzegorz Miedziński





Beania, czyli otrzęsiny

Otrzęsiny to bardzo stara impreza integracyjna, odbywająca się z okazji przyjmowania nowego rocznika studentów.

W średniowieczu nazywana była z łacińska beanią, a swój rodowód wywodziła prawdopodobnie z czasów starożytnej Krety. Wtedy to chłopcy po osiągnięciu wieku dojrzałości prezentowali się nago podczas „festiwali obnażania”.

Na zdjęciu: Otrzęsiny na dziedzińcu Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego, październik 1935 r.



WŁOSKIE DOLOMITY



USA



BIEBRZAŃSKI PARK NARODOWY

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski
naczelny@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Julia Michalczewska
redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski, Cezary Banasiak,
Józef Baran, Paweł Chara, Maciej Jastrzębski, Michał
Kochańczyk, Marcin Kołpanowicz, Romuald Koperski,
Tomasz Michniewicz, Robert Mazurek, Mirosław
Olszycki, Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika & DTP & Prepress
Artur Bury

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak tel. 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 583 508 464

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama świata
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

Reklama regionalna
aleksandra.gasowska@poznaj-swiat.pl
tel. 603 316 627

Reklama outdooru i elektroniki
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Reklama agencyjna
Active V Media Sp. z o.o.
biuro@avm.net.pl tel. 22 620-04-77

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania
redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam
i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi
przekonaniami ich autorów.



SIROCCO

165 gramów, waga piórkowa,
powstrzymuje uderzenia.



© michael.meisl

© 2013 adidas AG. adidas, the 3-Stripes mark and the 3-Stripes mark are registered trademarks of the adidas Group.

gorące manewry na mrozie

Kurtka Terrex Ndosphere to wyjątkowa swoboda ruchu. Teraz Guido jest gotowy, by dać sobie radę w każdych zimowych warunkach.

Dowiedz się więcej o kurtce Terrex Ndosphere i jej ocieplanych, rozciągliwych panelach na [adidas.com/outdoor](https://www.adidas.com/outdoor)

Trzymaj się ciepło i wertykalnie

